KAMENA

DWUTYGODNIK LITERACKI

LUBLIN

31.V.1960

Nr 10 (200)

ROK XXVII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: O kulturze zabitej deskami • „Ad astra" • Dąbrowska o Conradzie • Spotkanie nad Odrą • Z puścizny Czechowicza • Początki „Kameny" • Z Teatru Osterwy • I in.

Nr 200

POSTULATY PROWINCJI

WALDEMAR BABINICZ

Mówią mi często, że dobra defensywa więcej warta od byle jakiej, na patataj organizowanej ofensywy. Może i tak. Nie wiem, co by na to powiedzieli wojskowi, taktycy. My, ludzie cywilni, ludzie z głębokiego zaplecza przyzwyczailiśmy się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat używać terminologii mocno przypominającej działania wojenne. Nie bez korzyści. Ciągle szturmujemy jakieś pozycje, walczymy, zdobywamy, ponosimy klęski, trwamy na posterunkach, mobilizujemy i demobilizujemy siebie i innych. Nas też.

Chodzi mi nie o mało ważną dziedzinę naszego życia: o rozległe pole, niezmierzone pole obsiewane z różnym skutkiem w ciągu szesnastu lat przez resort kultury.

Mniejsza o terminologię. Zgadzam się, iż dobra defensywa wymaga przemyślanego działania, mobilizacji wszystkich sił, rozsądnego kierownictwa, umiejętności i żarliwego stosunku oraz wiary w zwycięstwo. Zakładam bowiem, że mądrze prowadzona defensywa skończyć się musi generalnym atakiem i przejściem z pozycji obronnej do natarcia.

Ba, ale czy i gdzie jest wróg?

Wszędzie tam, gdzie panoszy się jeszcze obskurantyzm, zabobon, pierwotny lub wtórny analfabetyzm, gdzie wiara w siły nadprzyrodzone przeciwstawia się, nie przebierając w środkach, rozumowi, nauce, argumentom.

O skuteczności działania decydują ludzie i nagromadzone środki. Aczkolwiek zagadnienie to porwało i natchnęło co lepszych dziennikarzy i publicystów, ośmielam się do niego wrócić z tym większą energią, że jestem pod silnym wrażeniem szeregu eksperymentów przeprowadzonych w ośrodkach, które w opinii publicznej uchodzą za tradycyjną twierdzę wszystkich sił wstecznych.

Ludzie

Po wielu mniej lub więcej udanych doświadczeniach, doszliśmy ostatecznie do starenkiego twierdzenia, iż ostoją kultury jest szkoła, a nosicielem dóbr kulturalnych nauczyciel. Nie ujmując nic z tego, co dla upowszechnienia kultury zdziałał i działa nadal nauczyciel, zwłaszcza w małym mieście i na wsi, z żalem muszę stwierdzić, iż nie doceniamy naszych sprzymierzeńców, których wykształciliśmy w ciągu szesnastolecia. Proszę uważnie policzyć, bez przymrużania oka. Mamy pracowników zdrowia, z wyższym i średnim wykształceniem. Mogę przytoczyć wiele nazwisk. Znakomita większość naszej służby zdrowia zdobyła sobie szacunek i duży autorytet dzięki opanowaniu zawodu, dzięki fachowym umiejętnościom. Mamy niemal w każdej b. gminie ośrodek stomatologiczny, w którym pracuje 1—2 lekarzy dentystów z wyższym wykształceniem, nie, jak przed wojną, techników lub młodszych felczerów. Mamy służbę rolną ze średnim i wyższym wykształceniem, lekarzy weterynarii, bardzo dzielnych, oddanych swojej pracy ludzi, którzy również posiadają pełne studia wyższe. Mamy wreszcie poważną armię pracowników GS, rad narodowych, techników-mechaników, elektrotechników, kierowników świetlic, bibliotek itp. Czyżby wszyscy ci ludzie młodego i średniego pokolenia nie liczyli się, czyżby jedyną naszą opokę miał stanowić po dawnemu nauczyciel? Czy w dzisiejszych warunkach to wystarczy? Nie zamierzam przeprowadzać analizy stosunków panujących w środowiskach lekarzy, agronomów, urzędników, pracowników kultury. Opierając się na zebranych materiałach i bezpośrednich długoletnich obserwacjach, twierdzę z całą stanowczością, że wszyscy ci ludzie są niezwykle ofiarni, wysoce ideowi, pełni najlepszej woli, nie zawsze jednak wykazujący inicjatywę. Więcej nawet. Wydaje się, iż inicjatywę tę odebraliśmy sami naszym sprzymierzeńcom. Założyliśmy bowiem, że lekarz weterynarii odpowiada za szczepienie świń, dentysta — za leczenie zębów, księgowy za bilans itd. A przecież ludzie ci sami użalają się na sui generis dyskryminację, sami cierpią, niekiedy boleśnie, na kompleks niższości. Zresztą, czy lekarz walczący z wszawicą, dbający o wysoki poziom higieny w swoim środowisku nie jest par excellence działaczem kulturalnym, naturalnym sprzymierzeńcem kierownika wydziału kultury czy świetlicy?

Znam kierowników wydziałów kultury (w kilku województwach i w kilkudziesięciu powiatach), którzy nie tylko unikają kontaktów ze służbą zdrowia, ale z tak pokrewnymi placówkami, jak Uniwersytety Powszechne czy Internatowe Uniwersytety Ludowe. Wiecie oczywiście, jak sobie tłumaczą tę izolację? Kompetencją. — To nie nasz resort — powiadają. Rozumiecie? W okresie koordynacji, w brzemiennym roku, w którym od najwyższego do najniższego szczebla mówi się o konieczności koordynacji środków i sił. A przecież wydziały kultury, zdrowia, rolnictwa itd. mieszczą się niekiedy w jednym budynku i firmowane są jednym prezydium.

Są ludzie. Mówię oczywiście o tych, których opinia publiczna nazywa „krzokami", a więc związani ze środowiskiem, głęboko korzeniami tkwiący w terenie, — w odróżnieniu od przelotnych „ptoków", którzy „teren" traktują jak złotą żyłę, jak wyprawę do Klondyki.

Mówię o ludziach, którym nie pomogliśmy w zorganizowaniu jednolitego frontu. Toż to Ogniska ZNP pracują sobie, agronomowie sobie, lekarze w ogóle nic nie widzą poza swoimi gabinetami, a urzędnicy GS... Ech, sami wiecie, co robią ci zacni ludzie. Nie postaraliśmy się, tam na górze, w związkach zawodowych, aby na najniższym szczeblu nastąpiło porozumienie między tymi wszystkimi ludźmi, aby absolwent wyższego zakładu naukowego nie boczył się na maturzystę, a ten z kolei na uczciwego, inteligentnego samouka. Kluby inteligencji? Owszem, tu i ówdzie, ale niewiele z nich pozostało, i klimatu nie umieliśmy dla nich stworzyć, i kierownicy wydziałów kultury nie znaleźli odpowiedniej rubryki w swoich raportach i aneksach.

Wiem, że wszędzie tam, gdzie nastąpiło porozumienie poszczególnych grup inteligenckich na dalekiej prowincji, tam istnieją twórcze, postępowe siły, które bynajmniej nie ograniczają się do ostrożnego działania obronnego.

Środki

Nie mówię tu o środkach finansowych, których roli żaden rozsądny człowiek nie będzie lekceważył. O mobilizacji rezerw finansowych, o legendarnych sumach, którymi rozporządzają PSS, GS, rzemiosło, poszczególne zakłady pracy, a które to sumy, przeznaczone teoretycznie na cele kulturalne, spoczywają w safesach nawet nieoprocentowane, o tych zawrotnych milionach opowiada się i pisze nieustannie od dwóch lat.

Nie o środki finansowe w tej chwili chodzi. Mam na myśli środki i metody, jakimi walczy nasza zawodowa lub społeczna armia pracowników kultury. Ciągle jeszcze kierownik świetlicy czy pracownik Powiatowego Domu Kultury zaczyna się od piosneczki, tańca ludowego, inscenizacji i „sztuczki teatralnej". Ciągle jeszcze mówiąc kultura mamy przed oczami zespół w strojach ludowych lub teatr amatorski w remizie strażackiej.

Czy wiecie, że w pewnym powiecie zniszczono jedenaście telewizorów nie ze złej woli, ale tylko dlatego, że kierownicy świetlic nie umieli obchodzić się z tymi nowoczesnymi urządzeniami kulturalnymi?

Czy można dziś poważnie myśleć o oddziaływaniu kulturalnym bez dobrze zaopatrzonej biblioteki, bez doskonałego radioodbiornika, czy — tam, gdzie istnieją możliwości — telewizora, bez magnetofonu, bez filmu oświatowego, aparatu projekcyjnego, bez czytelni abonującej obok gazet codziennych kilka czasopism fachowych i popularno-naukowych? Nie można, albowiem działanie za pomocą przestarzałych form skazane jest z góry na niepowodzenie.

Nie znaczy to oczywiście, że występuję przeciw folklorowi, przeciw kulturze ludowej, pieśniom, tańcom, małym formom teatralnym. Wszystkie one muszą być pielęgnowane, ale najzagorzalsi ich zwolennicy nie mogą negować faktu, że formy te stanowią w naszej epoce tylko pewną określoną część wielkiego, nowoczesnego arsenału.

Jakże ubogie byłoby nasze doświadczenie, jakież wąskie spojrzenie na teraźniejszość i przyszłość, gdybyśmy nasze oddziaływanie kulturalne ograniczali jedynie do bardzo starych, prawda że pięknych, ale dziś stanowczo nie wystarczających środków działania.

Oczywiście postulat unowocześnienia środków nie wyklucza naszego krytycznego stosunku do Polskiego Radia czy Telewizji. Im więcej jednak rozsądnych słuchaczy i telewidzów, tym większe wymagania w stosunku do obu tych ważnych instytucji, tym większy wpływ na programy, ich poziom, jakość, funkcję służebną.

Nowe treści — nowe formy

W pewnym okresie wydawało nam się, że wystarczy nadać pracy kulturalno-oświatowej stare, wypróbowane formy, aby treść jej porwała najbardziej oporne środowisko. Tak było z ogniskami Związku Nauczycielstwa Polskiego. Starsza generacja nauczycielska usiłowała przekazać młodemu pokoleniu owiane piękną legendą spotkania w ogniskach, nie pozba-

(Dokończenie na str. 6)

ZENON WAŚNIEWSKI — MOTYW Z CHEŁMA

W kwietniu br. upłynęło 15 lat od zgonu współzałożyciela i grafika „Kameny" Zenona Waśniewskiego, który zginął w Bergen-Belson na krótko przed wyzwoleniem więźniów obozu koncentracyjnego.

Kalendarz nr 10/1960

Leon Halban

Są ludzie, którzy potrafią przeżyć życie tak, by odchodząc mieli prawo powiedzieć, że tego raz tylko człowiekowi danego czasu nie zmarnowali. Do tych właśnie ludzi niewątpliwie należy zmarły 3 maja br. prof. Leon Halban. Jego życie było wypełnione po brzegi pracą naukową i społeczną, kontaktami z ludźmi, zwłaszcza z młodzieżą, dla której zawsze umiał znaleźć czas, radę, pomoc. Nie da się w działalności prof. Halbana oddzielić nauki od służby społecznej. I to jest bodaj najważniejsze — ta troska o człowieka, chęć przyjścia mu z pomocą przy odwoływaniu się do wszystkich środków, a więc pracy naukowej, działalności społecznej i politycznej, a nawet charytatywnej. Tej właśnie idei poświęcił Zmarły całe życie.

Prof. Leon Halban urodził się w 1893 r. w środowisku ludzi nauki. Ojciec jego był docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a później profesorem uniwersytetu w Czerniowcach i we Lwowie. Odziedziczywszy po ojcu zamiłowania do nauki — Leon Halban wstąpił po ukończeniu gimnazjum na Wydział Prawa Uniwersytetu Lwowskiego. Tu studiował m. in. pod kierunkiem tak wybitnych uczonych, jak: Oswald Balzer, Władysław Semkowicz, Władysław Abraham. Debiutem naukowym Zmarłego (nie licząc drobnych artykułów) była napisana w czasie studiów uniwersyteckich praca pt. „Powstanie i rozwój zapowiedzi małżeńskich w wiekach średnich". Po Lwowie Leon Halban kontynuował studia prawnicze w Wiedniu i Grenoble. Po powrocie do kraju otrzymał we Lwowie w 1916 r. doktorat, by natychmiast rzucić się w wir pracy społecznej i politycznej. Pracuje w Naczelnym Komitecie Narodowym w Wiedniu, w 1916 r. po raz pierwszy styka się też z Lublinem, gdzie działa w Zarządzie Cywilnym okupacji austriackiej, utrzymując bardzo żywy kontakt z ruchem niepodległościowym. Tutaj również przebywał do zakończenia wojny, pracując w Ludowym Rządzie Lubelskim, Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej.

W 1932 r. jest L. Halban we Lwowie profesorem tytularnym, zaś w 1936 — zwyczajnym. Okresem najbardziej wytężonej pracy naukowej Profesora są lata poprzedzające wybuch II Wojny Światowej. W tym czasie — na krótko przed dojściem Hitlera do władzy — począwszy od 1932 r. rozpoczyna Zmarły swą bardzo ostrą kampanię przeciwko faszyzmowi. Organizuje w różnych miastach polskich odczyty na temat narodowego socjalizmu, publikuje szereg artykułów, pisze liczne prace naukowe. Nietrudno się domyślić, że ta działalność musiała zwrócić na Profesora uwagę hitlerowskich uczonych, a nawet pewnych czynników polskich. Po zajęciu Lwowa przez Niemców (1941 r.) Profesor zmuszony był do ukrywania się przed okupantem, który znał tylko jeden rodzaj dyskusji z antagonistami... Mimo to ani na chwilę nie przerwał Profesor pracy naukowej i społecznej i po wyzwoleniu Lublina w 1944 r. bez zwłoki przystąpił do pracy przy organizowaniu Wydziału Prawa przy KUL. W 1945 r. otrzymał tu Katedrę Historii Prawa na Zachodzie Europy, która w 1946 r. przekształciła się w Katedrę Powszechnej Historii Ustroju Państw i Prawa. W r. 1949, z chwilą utworzenia analogicznego wydziału przy UMCS, obejmuje w nim Profesor Halban Katedrę Powszechnej Historii Ustrojów i Prawa. Wysokie kwalifikacje naukowe Profesora zadecydowały o tym, że został On wybrany do Sejmowej Komisji Konstytucyjnej.

Prof. Halban był nie tylko historykiem prawa, interesowała Go bardzo żywo etnografia i przeszłość Ziemi Lubelskiej, dlatego wśród kilkudziesięciu prac naukowych, które pozostawił po sobie, znaleźć można wiele cennych pozycji dotyczących naszego regionu, a także kultury ludowej. Zainteresowania Leona Halbana znajdowały wyraz nie tylko w badaniach naukowych i publikacyjnych, ale również w pracach instytutów i organizacji naukowych i społecznych. Był członkiem Zarządu Głównego Commission Internationale des Arts et Traditions Populaires w Paryżu, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, prezesem Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, członkiem Zarządu Głównego Caritas, przewodniczącym Senackiej Komisji do spraw młodzieży w UMCS, organizatorem opieki zdrowotnej dla młodzieży akademickiej Lublina itd.

Od kilku lat ciężko chory, unieruchomiony, niemal przykuty do fotela, do ostatniej chwili kontynuował swoją działalność naukową i społeczną. Drzwi Jego pokoju były otwarte dla wszystkich o każdej porze, człowiek bowiem, ze swymi jak najbardziej konkretnymi bolączkami i problemami, stanowił dla Zmarłego przedmiot największej wagi.

Roman Rosiak

O KULTURZE ZABITEJ DESKAMI

Drukujemy w dalszym ciągu odpowiedzi na konkurs „Życie kulturalne mego środowiska".

Red.

Jest na wschodnich rubieżach naszego kraju wieś (mniejsza o nazwę), której wojna nie poskąpiła zniszczenia.

Przed wojną niepodzielnym władcą był tu książę Sapieha. Jeszcze dziś żywe wśród ludzi są wspomnienia, jak ów książę wymagał od poddanych kłaniania się. Chłopi na widok swojego władcy klękali już z daleka bijąc pokłony. Co gorliwsi próbowali całować jego białe ręce. Nie danym im jednak było pomacać i ucałować dłoni „mości dobrodzieja". Książę brzydził się chłopskiej twarzy i z daleka już trzepotał rękami. Żyjąca w Krakowie księżna poznawszy na krakowskim bazarze byłą poddaną sprzedającą grzyby nie zawahała się przed słowami:

— Takie drogie te grzyby? Przecież to z mojego własnego lasu.

Często, bardzo często tutejszy włościanie sięgają myślą do tamtych czasów..

Rozmawiam z pewną kobietą.

— Ach, panie, dzisiaj to tylko żyć i żyć. Moje dzieci dziś chodzą ubrane do szkoły tak jak dawniej księżnej.

Były w owych czasach chwile buntu. Rok 1933 to rok wielkiego strajku chłopskiego, krwawo stłumionego przez policję i wojsko. Druga wojna przyniosła ogrom zniszczeń. Dzieła zniszczenia dopełniły już po wojnie faszystowskie bandy UPA. Wreszcie przyszedł upragniony dzień wolności. Powoli, bardzo powoli wieś zaczęła dźwigać się z ran. Każdy miniony rok był inny. Rany zabliźniły się. Było ich jednak zbyt wiele i zbyt bolesnych, by się w ciągu 15 lat mogły zabliźnić bez śladu. Tu i ówdzie sterczą jeszcze kikuty spalonych domów, a pochylone nad mogiłami poległych krzyże brzozowe przypominają przechodniom minione dnie.

*

Tak, to już piętnaście lat minęło. Widać to wszędzie. Światło elektryczne błyszczy w każdej chłopskiej chacie, aparat radiowy nie jest tu żadną nowością. Na drogach daje się zauważyć rozwój techniki. Warkot motocykli rozlegający się głosem donośnym oznajmia, że czas już zarzucić rower na strych. Pralki elektryczne, nowoczesne meble „na wysoki połysk" w wiejskich chałupach, oto skutki piętnastolecia.

— A życie kulturalne?

— Otóż to.

...Jest wczesny niedzielny poranek. Idziemy błotnistą dróżką w kierunku chaty, którą obraliśmy za pierwszy cel naszej wędrówki.

Snujący się cienką smużką dym daje nam znać, że gospodyni rozpoczęła już dzień pracy. Chata, jakich wiele. Jak stara babcia wtuliła się w ramiona słomianej strzechy i zda się dumać o swoim przyszłym losie. Jakby na nasze spotkanie wybiegł z chaty jakiś smyk. Nie zwracając uwagi na nas podbiegł pod stodołę, spuścił porcięta, podnósł koszulinę i ...składa hołd naturze. Cała tylna strona stodoły wraz ze skrawkiem przyległej miedzy to ustęp. Ustępów jest tu zresztą w ogóle mało. Zastępuje go po prostu obora, chlew albo leżący na środku podwórza gnój.

Wchodzimy przez zaśmiecone sienie do mieszkania. Wita nas starsza już kobieta z rozczochranymi włosami. W jej głosie dźwięczy nuta jakiegoś zdziwienia pomieszanego z zakłopotaniem. Przez chwilę badamy się wzajemnie.

— Pany pewno za podatkiem — przerywa wreszcie kłopotliwą ciszę gospodyni, po czym dodaje:

— My już zapłacili ten podatek, zaległości nie ma. Niech pany idą tam, do tej starej ropuchy; ona nigdy nie płaci. Tu wskazała palcem przez okno na starą walącą się chłupinę krytą blachą. Przy tym dowiedzieliśmy się, jak to ta „stara ropuch" broniła się przed założeniem światła w jej domu, jak stary trzyma w piecu pieniądze. — Jak była wymiana, to stał tydzień czasu do banku — mówi rozmówczyni. Taki to dziad.

— Czegoś bidny — boś głupi — mowi na zakończenie.

Tymczasem mój towarzysz wędrówki notował:

Ciemna izba, ściany bielone chyba dwa lata temu. Na ścianie czołowej, tej naprzeciw drzwi, cały rząd obrazów (religijnych oczywiście). Nad łóżkami dwa obrazy najnowsze, te kupione od wędrownych handlarzy dewocjonaliami.

Pytamy ile kosztuje taki obraz.

— Dałam 300 złotych i już się psuje, farba złazi czy co, sama już nie wiem. Mój stary to mówi, że wykinęłam forsę w błoto, bo to niepotrzebne, te łobrażniki to tylko łupią z chłopa skórę. Ale mnie się podobał. Sąsiadki kupowały, to ja miałam być gorsza. Niech będzie, córka dorośnie, będzie szła za chłopa, przyda się.

Rzuciwszy jeszcze okiem na brudną (niedziela!) podłogę — ruszamy dalej. Wstępujemy jeszcze do kilku chat. Wszystko się powtarza, rząd obrazów na ścianie, w kątach śmiecie, brudne podwórze, gromada.., dzieci. W jednym z domów próbujemy wyjaśnić „tajemnicę urodzaju na dzieci". Pytamy nieśmiało o liczbę dzieci.

— A mam ich aż ośmioro — odpowiada wąsaty gospodarz, który przed chwilą wrócił z obrządku. — Jak ja do baby z kalesonami, to Pan Bóg z duszą — żartuje (?) chłop. Po chwili uśmiechając się pod wąsem dodaje: — To wszystko winien ten pociąg, co to leci po czwartej. Budzi nas, co wtedy robić?

Wreszcie do rozmowy wtrąca się żona gospodarza.

— A, o nasza sąsiadka już też ma trzecie, dopiero dwa lata po ślubie, a jedno już im umarło, to co mieli naprzód... Ksiądz na spowiedzi pyta ile masz dzieci — ciągnęła dalej — jak mało, troje czy czworo, to musicie mieć więcej — mówi. Sadłowa Ceśka miała dwoje, a po tej spowiedzi przed świętami już z trzecim chodzi. I też dopiero po ślubie.

Jest już zmierzch. W miejscowej świetlicy panuje ożywiony ruch. Wchodzimy na salę. Wokół sali na ławkach siedzą „stare baby". Młodzi stoją, palą papierosy. Kłęby dymu pomieszanego z kurzem unoszą się ku górze. Rozmawiają używając mocnych, dosadnych słów.

Wreszcie jakiś młodzieniec z ondulacją na głowie manifestacyjnie przemierza salę nucąc głośno jakiś stary „szlagier". Jest zalany.

Orkiestra zaczyna grać. Tworzą się pary, tańczą: jeden z papierosem w zębach, inny w czapce, jeszcze inny w szaliku pod marynarką. Ondulowany prosi do tańca panienkę. Za uchem ma papierosa. Ta odmawia. W pewnym momencie orkiestra zaczyna grać marsza. Oczy zebranych kierują się w stronę drzwi. Ten z ondulacją wylazłszy na scenę oznajmia zapijaczonym głosem:

— To dla tej, co ze mną nie chciała tańczyć, do budy, stare k...sko, wysuwaj w podskokach.

Odeszła. Pożegnały ją śmiechy i drwiny. Długo nie pokaże się ludziom.

W ciasnej izdebce bufetu aż ciemno od dymu. W kącie zastawionym stołami krząta się bufetowy. Nawał pracy sprawił, że zapomniał zdjąć czapkę. Leje piwo, spod stołu wyciąga i podaje ćwiartki. Ludzie się cisną. W drugim kącie rozlega się donośny śpiew:

Kto wypije, to za nas,
Bo za sto lat nie będzie nas.

Tymczasem na sali tanecznej światło zgasło, słychać pisk kobiet, wrzaski zapijaczonych kawalerów i jęki bitych.

Dochodzimy przyczyn bójki.

— Dobrze im zrobili — jak kółeczko, to kółeczko.

— Przyszli z innej wioski i jeszcze się mądrzą.

...Wchodzimy do sklepu. Za ladą młoda kobieta. Chusteczka, czerwony sweter. Sklep, jakich tysiące na naszej wsi. Jest filią GS. Podłoga czarna od brudu. Na ladzie waga, pod ladą ...któżby to wiedział. U sufitu wiszą na sznurku jakieś pudła, pewnie wafle. Na innej ścianie stara, zardzewiała kosa, łopata, widły. W kącie stos worków, porozbijanych skrzynek. Na półkach różne drobiazgi, ułożone ot tak, jak wypadło.

W oknach zardzewiała krata.

Idziemy dalej.

...Na horyzoncie Gromadzka Rada Narodowa.

Pukamy do drzwi.

— Tak.

Wchodzimy. W pierwszej salce na długiej ławie siedzi urzędnik. Pisze. W kącie stoi drewniana szafa, a na niej sterty zakurzonych papierów. Przy oknach karykatury wazonów. Widok uzupełnia okopcony piec, a za nim znowu sterty papierów i brudu. W „gabinecie" przewodniczącego jest podobnie. Biurko zasłane obszarpanym papierem, na szafie sterty papierów, w kącie urna, a w niej...???

Przewodniczącego poznaliśmy. Był nieogolony. Przeglądał papiery. Nagle zadzwonił telefon. Powoli podniósł słuchawkę.

— Tak, słucham... Rada, przewodniczący... Co, co, protokóły prac komisji radzieckich?... Są, pracują... Dobrze, zrobimy.

Odkładając słuchawkę dodał „na papierze".

Tymczasem zgłosili się interesanci, jeden w sprawie podania o umorzenie żywca, inny chciał zameldować dziecko.

— Nie ma sekretarza, nie zameldujem. Szafa zamknięta, przyjdziecie jutro.

Obok rady (z dniem 1 stycznia 1960 r. rozwiązana, pracownicy przeszli do innej rady) jest biblioteka gromadzka. Pomieszczenia, jak na tak ważną instytucję, zbyt ciasne. Książek jest sporo. Ale przejmujący chłód i ciasnota jakoś odstraszają. Bibliotekarka jest nauczycielką. Starsza już ta pani dochodzi tu z odległej o 3 km innej wioski (w miejscu jest 4 nauczycieli, młodzi).

Pracuje na ryczałcie. Prosimy o kilka słów. Chwilę zastanowienia, trochę zakłopotania i rozmowa nasza zaczyna się rozkręcać.

— Owszem, czytelnictwo powoli się rozwija. Prawdziwa wieś, ta od roli, czyta jednak jeszcze wciąż mało. Młodzież czyta — „Roboty na drutach, Wyszywanie", jak się zachować, „coś o miłości". Starsi biorą co im się da.

— A jakie ma pani trudności — zapytujemy.

— O, tych jest masę. Ale czy wyliczanie ich coś da?

Ciasnota, zimno, brak opału, pieca, brak skromnego choćby kąta na propagandę wizualną.

— Moim marzeniem jest urządzenie skromniutkiej czytelni, gdzie czytelnik

(Dokończenie na str. 8)

„Teren" pracuje

ZESPÓŁ PDK W BIŁGORAJU wystawił ostatnio „Zemstę" Al. Fredry w reżyserii Haliny Prochowskiej. W maju planuje się wyjazd zespołu do Szczebrzeszyna, Zwierzyńca, Józefowa i Soli. W czasie wakacji zespół wyruszy na wędrówkę po Roztoczu.

W WOJCIESZKOWIE (POW. ŁUKÓW) od pięciu lat pracuje świetlica pod kierownictwem Wandy Strzeleckiej. Oprócz pracy artystycznej zespołów (teatralny, recytatorski, wokalny) jest prowadzona w świetlicy praca oświatowa. W zespole oświatowym skupiają się ludzie o zainteresowaniach humanistycznych (historia, literatura). Bardzo ułatwia kierowniczce świetlicy pracę ze środowiskiem wiejskim prowadzenie biblioteki gromadzkiej. Ludzie korzystający z biblioteki bardzo chętnie przebywają w świetlicy, a członkowie zespołów artystycznych są stałymi czytelnikami biblioteki gromadzkiej. Dużą pomoc i zainteresowanie pracą świetlicy okazuje miejscowe nauczycielstwo (głównie Teresa Jóźwik, Jadwiga Bojarek oraz Roman Warpas). Nauczyciele ci są jednocześnie członkami zespołów artystycznych. Trzeba dodać, że kierowniczka biblioteki i świetlicy zainteresowała mieszkańców Wojcieszkowa przeszłością wsi. Dzięki jej poszukiwaniom udało się ustalić, że Wojcieszków posiadał kiedyś prawa miejskie. Odczytanie zapisków z marginesów starych ksiąg parafialnych dało sporo ciekawych materiałów dotyczących przeszłości wsi. Te ciekawe osiągnięcia w pracy ze środowiskiem należałoby wykorzystać w kontaktach z podobnymi placówkami i zespołami z okolicy. Przy świetlicy gromadzkiej w Wojcieszkowie mógłby powstać również punkt poradnictwa repertuarowego.

W POWIECIE LUBELSKIM żywą działalność rozpoczynają Koła Przyjaciół Bibliotek Gromadzkich. Celem tych kół jest praca ze środowiskiem nad podniesieniem zainteresowania książką i literaturą. Oto trzy miejscowości, w których praca Kół Przyjaciół Biblioteki rozwija się ciekawie:

W ZEMBORZYCACH Biblioteka Gromadzka posiada kilkuset czytelników. Dużo wysiłku w popularyzację czytelnictwa wśród mieszkańców Zemborzyc i okolicy włożyła Maria Rzymowska (kierowniczka biblioteki). Dzięki jej inicjatywie powstało przy bibliotece bardzo ciekawie rozpoczynające pracę Koło Przyjaciół Biblioteki. Przy Kole zawiązały się dwa zespoły artystyczne: teatralny i taneczny. Zespół teatralny wystawił ostatnio komedię Jana Al. Fredry „Consilium facultatis". Ze sztuką tą członkowie zespołu zamierzają wyjechać do okolicznych wsi. Najaktywniejszym członkiem zespołu i Koła jest Władysław Gieroba, który bardzo wiele wysiłku i inicjatywy wkłada w organizowanie imprez artystycznych.

KOŁO PRZYJACIÓŁ BIBLIOTEKI W PIASKACH powstało 3 maja 1960 r. Skupiło ono 25 członków. Oprócz popularyzacji czytelnictwa zamierza się tu urządzać wieczory autorskie, odczyty i wieczornice o tematyce literackiej. Przy kole powstanie w najbliższej przyszłości zespół teatralny.

W SOBIANOWICACH największą troskę wykazali członkowie Koła o zgromadzenie funduszu na powiększenie księgozbioru biblioteki gromadzkiej. W tym celu urządzono dwie zabawy i wystawiono dwie jednoaktówki Lachowicza. Kierowniczką biblioteki w Sobianowicach jest Lucyna Kubik, która wraz z mężem wiele czasu poświęca na propagowanie czytelnictwa wśród mieszkańców wsi.

J. Z.

„AD ASTRA"

W 50-LECIE ŚMIERCI ELIZY ORZESZKOWEJ

GABRIELA KOSIŃSKA

W zbliżającą się pięćdziesiątą rocznicę śmierci Orzeszkowej (18 maja 1910) warto by przypomnieć książkę, o której mówi najlepszy dotąd znawca jej twórczości A. Drogoszewski, że „zostawiła w niej spowiedź najbardziej może osobistą i testamentową". (Sfinks, t. XII).

„Ad astra" stanowi w pisarstwie Orzeszkowej bardzo ciekawą pozycję. Jest to — jak wiadomo — spółka literacka, dwugłos w formie listów i kilku dłuższych rozdziałów komentujących je lub uzupełniających akcję, którego pomysł wyszedł od młodego uczonego, profesora przyrody na krakowskim uniwersytecie, Tadeusza Garbowskiego. Nie był on oryginalny. Garbowski nawiązywał do „Dwóch biegunów", pragnąc kontynuować konflikt odmiennych indywidualności: kobiety, która widzi treść i cel swego życia w pracy dla ludu, i mężczyzny o typie kosmopolitycznym, literata przyzwyczajonego do kulturalnych rozrywek wielkomiejskich.

Tadeusz Rodowski, nowe wcielenie Granowskiego, jest czymś więcej od niego, bo uczonym, uosobiającym myśl wolną od wszelkich przesądów.

Wskrzeszona Seweryna jest tą samą „dziką" Seweryną według określenia autorki i w pojęciu beau monde'u oddaną bez reszty misji na kresach, o 12 lat starszą od tamtej, z kompleksem niespełnionej miłości, toteż przeniesie ona na Rodowskiego, kuzyna jak i tamten, cały ogrom uczucia bardzo uduchowionego, o podkładzie siostrzanej troski o jego duszę.

Garbowski tak podzielił role projektowanej powieści. „Pani" — pisze do Orzeszkowej (list z 8 czerwca 1899) — „da wytrawny miód mądrego i ciepłego serca i cichy balsam życiowego doświadczenia. Pani będzie stroną pogodną, mleczną, promienną. Ja zajmę biegun życiowo ognisty". Orzeszkowa nie bez zastrzeżeń co do narzuconej sobie roli („mlecznej, promiennej") zgodziła się na zasadniczy tok wydarzeń, proponując tylko, by rozwijanie go poza listami w dłuższych rozdziałach narracyjnych odbyło się na tle przyrody litewskiej i szwajcarskiej. Styl Rodowskiego powinien być bardziej ścisły, konkretny, surowy, kontrastujący z raczej emocjonalnym stylem Seweryny. Orzeszkowa podjęła się również napisania ostatnich listów Rodowskiego i rozdziału 34, w którym nastąpiło rozwiązanie jego trudności psychicznych i wyprostowanie drogi.

Listy Rodowskiego, już od pierwszego począwszy, nie rokują nadziei na możność porozumienia. Sposób, w jaki odnosi się do Seweryny, razi brakiem delikatności. Rodowski lekceważy jej ideały, nazywając je „krainą baśni". Uważa za „rzecz szkodliwą" i zgubną stale otaczanie się mgłą wyśnionych urojeń i przebrzmiałych haseł". Nie chce, by jej „ofiara i cierpienie spalały się na ołtarzu złudy". Seweryna odpowiada mu na to, że „jeżeli baśnią są jej ideały, to prawdą są suknie szeleszczące, rękawiczki do ramion długie itd".

Wyzwolony Rodowski nie czuje potrzeby ludzkiej przyjaźni, serca, a na zapytanie Seweryny (list 25), dlaczego zdobywszy upragnioną wolność nie czuje się szczęśliwy, daje wypowiedź pełną niesamowitej pychy i samoubóstwienia (list 26).

W dywagacjach z Mürren są reminiscencje z Improwizacji, coś z übermenscha Nietzschego.

„Jestem jak słońce, o którym śpiewały fińskie runy Kalewali".

„Kamień mądrości, za którym wzdychały wieki, jest moim".

„Do kogo z żywych czy umarłych geniuszy się zwrócę, każdego duchem przerastam".

„Wyjęty jestem spod praw czasu i przestrzeni" itd., itd.

Cały ten kabotynizm nie wydaje się śmieszny Sewerynie, budzi tylko w niej przerażenie i współczucie dla zbłąkanego brata. Przy tym zjawiają się akcenty niezrozumiałe u Orzeszkowej, którą przyzwyczailiśmy się uważać za ideał równowagi, duchowej. Klucz do zrozumienia tych stanów znaleźć możemy we „Wspomnieniach" drukowanych w „Sfinksie" (1911 t. XIII). Jest tam mowa o pierwiastku irracjonalnym w jej życiu, o halucynacjach, przeczuciach. „I teraz nie rozumiem, co to było. Przeniesiony tu z sobą świat istnienia w świecie innych wymiarów? Przeczuwanie tego, co mnie na tym świecie spotkać miało?" Te niewyzyskane złoża, te tajemnicze siły dopiero w „Ad astra" dochodzą czasem do głosu.

Rodowski, po chorobliwych urojeniach, po całej tej eksplozji uczuć, załamuje się, traci wiarę w siebie i myśli o śmierci. Wybiera się więc w Alpy, by upozorować samobójstwo wypadkiem, zasypaniem przez lawinę. W ostatnim rozdziale napisanym przez Garbowskiego, „Na lodowcach", zjawia się pragnienie duszy bratniej i wtedy zjawia się piękny nastrojowy obraz przedstawiający cierpienia Seweryny.

„Z szelestem padającego szronu idą po śniegu trzody białych łani i patrzą mu w oczy diamentami łez.

Na śnieżnych ruinach siedzi wieszczka biała, pochyla czoło i szlocha.

Kto ją skrzywdził?"

Jak wynika jednak z analizy treści utworu jest to pomysł Orzeszkowej, gdyż przy końcu książki widzimy znów łanię, symbol ofiary Seweryny.

Po rozdziale „Na lodowcach" bierze Orzeszkowa akcję wyłącznie w swoje ręce, przygotowując... happy end, zresztą bardzo subtelnie pomyślany i przeprowadzony. Dowiedziawszy się od krewnej, że Rodowski zaginął w Alpach, wysłała Seweryna list do niego wzywając go do przyjazdu do Wiednia. Tam ściąga młodą dziewczynę, Henrykę, która bawi u niej tęskniąc za Rodowskim, poznanym w Szwajcarii. Ten krótki epizod powraca też we wspomnieniach uczonego i listach jego do Seweryny.

Seweryna czyni ofiarę z osobistego szczęścia, ją bowiem wzywał Rodowski w chwili najtragiczniejszej, od niej pomocy i pociechy się spodziewał. W chwili wyrzeczenia powtarza ona przysięgę daną ziemi. Zostaje sama, wierna wysokim gwiazdom.

Pomysł Garbowskiego był bardzo ryzykowny, talenty bowiem i indywidualności ich dwojga były niewspółmierne. Część Rodowskiego pełna jest niekonsekwencji, psychologia często niezrozumiała. Styl wbrew radom Orzeszkowej rozlewny, nieraz nienaturalny.

Orzeszkowa za to stanęła na wysokości zadania. Nie tylko podziwiamy tu artyzm opisu bardzo wysokiej klasy, ale też prawdę przeżyć Seweryny oraz zdolność syntezy. Na przykład charakterystyczne jest takie jej powiedzenie: „Myślę, że służyć można ogromowi przez małość, nieskończoności przez ograniczoność".

Orzeszkowa była nie tylko wielkim pisarzem, ale wyjątkowo szlachetnym człowiekiem. Hasłem jej życia była służba ludziom. W czasie powstania styczniowego była łączniczką między oddziałami, przewoziła ściganego przez żandarmów Traugutta do obozu, ukrywała powstańców. Nie lubiła o tym mówić, ale charakterystyczne jest zwierzenie Seweryny w „Ad astra":

„Gdybym znowu zdołała wydać z siebie tę energię, która trudnego czynu dopełnia, znowu uczułabym swoją Psyche z rycerską lancą w dłoni".

W czasie długoletniego pobytu w Grodnie pochłaniała ją poza pracą pisarską działalność kulturalno-oświatowa i charytatywna. Urządzała ona zebrania literackie dla dorosłych, na których sama była recytatorką. Prowadziła tajne kursy historii literatury polskiej. Słyszałam od uczestnika ich, że były porywające. Opiekowała się też młodzieżą szkolną. Zorganizowała 2 bursy i wydatnie je wspomagała.

W jej domu zawsze było kilka dziewcząt, które wychowywała i o los ich dalszy się troszczyła. Znałam w Grodnie jedną panią, która ze łzami w oczach wspominała, że przechowuje u siebie kołdrę, którą sama Orzeszkowa dla niej pikowała. Przy swoich rozlicznych zajęciach miała jeszcze czas, by obszywać swoje wychowanki.

Znane było jej złote serce. Żydzi nazywają jej dom „domem Abrahama". Gdy w 1899 r. wybuchł w Grodnie pożar, który zniszczył wiele domów najuboższej ludności, Orzeszkowa skróciła swój pobyt za granicą, by zorganizować na miejscu pomoc dla najwięcej poszkodowanych. Była zawsze bliska ludziom i nie dzieliła się od nich „przepaścią słowa". Że jeszcze raz zacytuję A. Drogoszewskiego, który tak ocenił jej rolę w społeczeństwie:

„Trwała w pomroku, w nocy ciężkiej, pośród szalejącej burzy żywiołów nienawiści, rzucając wobec „czcicieli potęgi" hasło: „Chwała zwyciężonym".

Dąbrowska o Conradzie

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Półki księgarskie i biblioteczne zaczynają się wreszcie wypełniać książkami Conrada i o Conradzie. Państwowy Instytut Wydawniczy realizuje od kilku lat dosyć staranną edycję najlepszych dzieł znakomitego prozaika, przetłumaczono na język polski wcale ciekawe wspomnienia Jessie Conrad i celną biografię autora „Ocalenia" Aubry'ego. W końcu wydano „Szkice o Conradzie" *) Marii Dąbrowskiej.

Nie znam osobiście ciekawszych książek niż te, które układa pisarz o pisarzu, zwłaszcza jeśli nie są one wyłącznie, bądź przede wszystkim zbiorem wspomnień i anegdot, lecz stanowią rezultat konfrontacji dwóch odrębnych, a jednak w pewnej mierze spokrewnionych ze sobą postaw twórczych, artystycznych, filozoficznych — o bardzo delikatnej nieraz strukturze. Otóż „Szkice o Conradzie" są właśnie taką książką — bodaj najciekawszą z esseistyki Marii Dąbrowskiej.

Najciekawszą — mimo dużej, strukturalnej nierówności. Dąbrowska odważyła się na eksperyment dość karkołomny i nie dla każdego pisarza strawny: zestawiła w „Szkicach" prace o różnym profilu gatunkowym i konsystencji analitycznej — od marginalnej noty literackiej i czysto informacyjnej recenzji do wykończonego, zaokrąglonego esseju, utrwalającego uważne, wyczerpujące spojrzenie pisarki na wybrany z dorobku Conrada utwór czy zagadnienie. A wszystko osadzone w tonie maksymalnej, pisarskiej uczciwości: mimo zebrania materiału na tęgą książkę o twórcy „Tajfunu", pisarka raz po raz usprawiedliwia się z niedostatecznej — w jej przekonaniu — wiedzy o Conradzie, braku znajomości wszystkich dzieł jego i o nim, z prywatnego wreszcie, osobistego spojrzenia na przedstawiane problemy.

Racja w tym — ale i zbytni samokrytycyzm. Racja o tyle, że czytelnik mało zorientowany w Conradzie, szukający jakiegoś, bodaj biograficznego klucza do jego twórczości, skorzysta więcej z lektury Aubry'ego, choć i ona świadomym niedostatkiem analizy literackiej (Francuzowi chodziło przecież o „Życie Conrada") ustępuje niestety ciekawej, a nie wznowionej dotychczas monografii prof. Ujejskiego. Wypada zresztą przy tej okazji upomnieć się żywo o jak najszybszą edycję takiej monografii (podobno pisze ją od lat wielu Zdzisław Najder) — szczególnie bowiem nasz młody, początkujący czytelnik odcięty jest od książek Conrada wskutek braku dobrego, mądrego po nich przewodnika.

Wracając jednak do „Szkiców" Dąbrowskiej wypada stwierdzić, że ten, kto zaczyna już się rozsmakowywać w trudnej, zamyślonej narracji twórcy „Złotej strzały", znajdzie w tej książce nie lada bodziec do ponawiania swoich wysiłków. Dąbrowska, wiedziona nieomylnym instynktem rasowego artysty, potrafi zwrócić uwagę na zagadnienia u Conrada ważne, węzłowe, a ukryte pod faktografią marynistyczną. Na zagadnienia moralne.

W tym właśnie względzie Dąbrowska dokonała ogromnego wysiłku dla przełamania znamiennej bezwładności popularnej u nas, a nie tylko czytelniczej, opinii o Conradzie. Brązowienie go na marynistycznego klasyka — podobnie jak każda petryfikacja pisarskiej specjalności — nie wyszło przecież Conradowi w Polsce na dobre, zrobiło z jego książek coś na kształt na pół narodowych, na pół międzynarodowych pamiątek, wyciąganych z muzealnej skrzyni raz do roku, około „Dni morza". Tymczasem każda strona rozważań Dąbrowskiej wprost lub pośrednio dowodzi, że na morze w twórczości Conrada należy patrzeć tak, jak i on je w gruncie rzeczy traktował: jako na problem, temat czy — w sensie ideowego i artystycznego bodźca — pretekst, pozwalający autorowi „Smugi cienia" sformułować najlepiej jego dążność do oddania sprawiedliwości widzialnemu światu.

Myślę, że ta dążność, wytyczająca również i pisarskie ścieżki autorki „Ludzi stamtąd", doprowadziła właśnie do trwającego tyle lat spotkania Dąbrowskiej z Conradem. Przeszkody w nim nie stanowił nawet, tak bardzo z pozoru odmienny, warsztat pisarski

(Dokończenie na str. 7)

*) *Maria Dąbrowska: „Szkice o Conradzie. Warszawa 1959, PIW.*

Na Dzień Dziecka

RYSZARD DUNIN

Kołysanka

Śpij, synku maleńki,
niebo wieczorne
od dawna już płacze
gwiazdami,
lecą na ziemię
srebrnymi kroplami
jedna po drugiej,
jak łzy.

Każesz mi je liczyć?
Tyle gwiazd?
Któżby je zliczył?

Śpij, synku maleńki,
nie trzeba liczyć gwiazd,
gwiazdy potrzebne są ludziom,
aby mogli marzyć jak dzieci
nieumiejące jeszcze liczyć,
ile za gwiazdę byłoby
atomowych głowic
i ludzkiego nieszczęścia?

Śpij, synku maleńki,
kiedy dorośniesz — pamiętaj,
nigdy nie licz gwiazd,
gwiazdy potrzebne są ludziom,
aby mieli jasne sny.

WANDA BACEWICZ

Niedostatek wyobraźni

Zginął Agadir.

Jemy, śpimy,
trwamy jakby nic się nie stało.

Zginął Agadir.

Wyobraźnia nędzna i płocha
nie odebrała nam nawet uśmiechu.

Żywi ludzie pod gruzami,
na gruzach hieny,
ofiary na ołtarzu zarazy,
szpitale pełne jęków.

Groza porażonych ręką natury.

My tylko wspominamy naszą zagładę
ludzką ręką wznieconą
i odpieraną.

I trwamy.

Wrocław przed obchodem 15-lecia wyzwolenia

O SPOTKANIU NAD ODRĄ nieco KRYTYCZNIE

MAREK A. JAWORSKI

Stale rośnie ranga Ziem Zachodnich. Szczególnie uroczyście obchodzone w w tym roku 15-lecie naszego powrotu nad Odrę i Nysę jeszcze raz unaoczniło, czym jest dla Polski Wrocław i Szczecin, Olsztyn i Zielona Góra. Opole i Koszalin.

Przybysz z Polski centralnej, który raz na kilka lat wpada do któregoś z tych miast, nie może nadziwić się zmianom, rzucającym się w oczy niemal na każdym kroku. Zmienia się ziemia; zmienia się psychika ludzi. Dostrzegają to i obcokrajowcy. Charakterystyczne są opinie, wyrażone przez Fernanda Faubera, europejskiego korespondenta pisma „The Blade", wychodzącego w Toledo:

„Powróciwszy z objazdu polskich Ziem Zachodnich — stwierdza Fauber — stwierdziłem, że najbardziej fascynującym elementem ich obrazu nie są nowe fabryki i budynki, wznoszące się z morza ruin, lecz ludzie. Spotkaliśmy tu się z problemami, które dla Amerykanów są bardziej zrozumiałe niż dla kogokolwiek innego: problemy te — to wielkie wędrówki, pionierzy, osadnicy, pierwsze pokolenie stałych mieszkańców, jednoczenie się, wskrzeszanie kultury, walka z olbrzymimi trudnościami. Ziemie Zachodnie są tyglem dla 7,5 miliona wędrowców, co stanowi niemal jedną czwartą ludności całego kraju. Wędrowcy ci zapuszczają jednak korzenie, a proces zespalania przyspieszany jest przez wspólny język i wspólne ambicje... Teraz, gdy na Ziemiach Zachodnich Polski są już i kołyski i cmentarze — Polacy są bardziej niż kiedykolwiek zdecydowani pozostać na tych terenach, położonych na Wschód od Odry i Nysy. Co do tego zgodni są wszyscy, niezależnie od swych poglądów politycznych i religijnych..."

Właśnie: ludzie Ziem Zachodnich. Jaki to wspaniały temat dla dobrego prozaika! Rzucam tę uwagę w związku z III Zjazdem Pisarzy Ziem Zachodnich, który na początku maja br. obradował we Wrocławiu.

Określenie „pisarz Ziem Zachodnich" na pozór trąci nieco prowincjonalizmem. Biorąc jednak pod uwagę znaczenie Ziem Zachodnich dla Polski, można i należy pojęcie to odwrócić. Stwierdzenie, że ktoś jest „pisarzem Ziem Zachodnich" powinno stanowić powód do dumy, a jednocześnie poważnie z o b o w i ą z y w a ć!

Mówiąc jednak otwarcie, a poruszyła ten problem na wrocławskim zjeździe Maria Klimas-Błahutowa, nasuwa się pytanie: kto właściwie może się uważać za „pisarza Ziem Zachodnich"? Decyduje kryterium zamieszkania? Bzdura! Ilu jest pisarzy przebywających stale we Wrocławiu czy Szczecinie, którzy ani jednego swego utworu nie poświęcili Ziemiom Zachodnim. Czy należy z tego powodu mieć do nich jakiekolwiek pretensje? Rzecz jasna, że nie. Twórczością nie można kierować, literatów nie można prowadzić za rączkę, czego smutnym dowodem był tzw. „miniony okres". Z drugiej strony wielu pisarzy mieszkających stale, dajmy na to, w Warszawie porusza w swojej twórczości problematykę Ziem Zachodnich, sięgając zarówno do przeszłości tych terenów, jak i dnia dzisiejszego. Drobny przykład: niedawno ogłoszono wyniki konkursu rozpisanego przez Radę Naczelną TRZZ na utwór sceniczny o tematyce Ziem Zachodnich. Wszystkie nagrody otrzymali warszawianie! Nikt chyba nie powie, że przez „kumoterstwo".

Bądźmi więc ostrożni z szafowaniem tym określenim — „pisarz Ziem Zachodnich".

Oceniając obrady zjazdu we Wrocławiu, na którym cierpliwie wysiedziałem przez trzy niemal całe dni, muszę przyznać, że się rozczarowałem. Oczywiście nie oczekiwałem od zjazdu jakichś rewelacji, sądziłem jednak, że w dyskusji zostaną poruszone jakieś żywotne problemy. Niestety, na palcach jednej ręki można policzyć dyskutantów, którzy... mieli cokolwiek do powiedzenia. Większość aprobowała tezy referatu wygłoszonego przez Tymoteusza Karpowicza (referatu, opracowanego wspólnie ze Zbigniewem Kubikowskim) nt. rozwoju środowisk literackich na Ziemiach Zachodnich w okresie 15-lecia. Użyłem określenia: „tezy referatu". Sformułowanie „na wyrost", referat był bowiem typowo sprawozdawczy. Nieco upraszczam, ale wyglądał on mniej więcej tak: są takie a takie ośrodki literackie na Ziemiach Zachodnich, tacy a tacy pisarze w nich mieszkają, działają, tworzą. Wydali oni tyle a tyle książek, wśród nich takie a takie pozycje. Pojawiły się nowe nazwiska, głównie młodych itd. itp.

Może informacje te przydały się na coś bibliotekarzom i księgarzom, którzy licznie przybyli na otwarcie zjazdu, ale sami twórcy zapewne nie znaleźli tu nic takiego, co mogłoby stać się podstawą wymiany myśli, ścierania się stanowisk, analizowania roli pisarza.

Gdy cytowana już wyżej Maria Klimas-Błahutowa wyraziła swój negatywny stosunek do referatu, wskazując na jego czysto informacyjny charakter, referent — Tymoteusz Karpowicz, gospodarz zjazdu, poprosił o głos, proponując — z uwagi na zmęczenie delegatów, czego dowodem miało być właśnie wystąpienie Błahutowej, odroczenie obrad do dnia następnego. Nie powiem, że to było dławienie krytyki. Ale nietakt na pewno. Nietakt, który wytworzył specyficzną atmosferę, daleką od szczerości. A chyba lepiej mówić oficjalnie szczerze, niż szczerze szeptać po kątach!

Jeśli drugi dzień zjazdu miał nieco ciekawszy przebieg, to również nie jest zasługą dyskutantów, ale — tym razem — dwóch referentów: Wilhelm Szewczyk omówił problem przekładów na język polski utworów pisarzy niemieckich (w ostatnim 15-leciu), a Aleksander Widera — przekładów z literatury czeskiej i słowackiej. Oba referaty zostały starannie przygotowane, stanowiąc nie suchy materiał statystyczny, ale i pewną próbę analizy naszego dorobku w tym zakresie.

Niestety, referaty pozostały prawie bez echa. Czyżby poruszone tematy zupełnie nie interesowały uczestników zjazdu, Zjazdu Pisarzy Ziem Zachodnich, terenów, sąsiadujących z Niemcami i CSR?

Dyskusja chwilami ożywiona, toczyła się dopiero w sekcjach, na których omawiano sprawy związane z upowszechnieniem kultury i literaturą autochtoniczną. Niestety, w pracach obu sekcji uczestniczyło nie więcej niż 40—50 proc. uczestników zjazdu. Pozostali znaleźli we Wrocławiu inne, widocznie ciekawsze, zajęcia.

Tymoteusz Karpowicz, rozmawiając ze mną prywatnie, po zjeździe, stwierdził, że przede wszystkim ważne jest to, że pisarze Ziem Zachodnich spotkali się ze sobą. Nie chodzi tyle o oficjalną dyskusję na zjeździe, ale o spotkania, rozmowy towarzyskie przy kawie czy kieliszku. Niestety, trudno byłoby mi uczestniczyć przy każdej tego typu „towarzyskiej rozmowie", zjazd oceniam tylko od strony „oficjalnej". I ta ocena, nolens volens, wypada negatywnie. Przykro to stwierdzić tym bardziej, że w zjeździe brała udział delegacja pisarzy z Czechosłowacji i NRD.

(Dokończenie na str. 6)

Widokówka z Wrocławia

HENRYKA KOGUT

Wszyscy chętnie pojechaliby do Krakowa czy Warszawy, może jeszcze do Poznania lub Łodzi, ale Wrocław... Nie, trzeba szczerze przyznać, zupełnie nie wchodził w grę, po prostu zapomnieliśmy o nim w gorących dyskusjach na temat planowanych wycieczek studenckich. I nagle wiadomość: jedziemy do Wrocławia! Kilka dni wyczekiwania i oto późnym wieczorem 24 kwietnia 15-osobowa delegacja studentów polonistyki UMCS należących do Koła Naukowego znalazła się w pociągu, który z każdą godziną zbliżał się do miejsca obrad IX Ogólnopolskiego Zjazdu Naukowego Młodzieży Polonistycznej, poświęconego twórczości Juliusza Słowackiego, literaturze Młodej Polski i okresowi XX-lecia.

Wrocławia prawie zupełnie nie znaliśmy. Wiedzieliśmy wprawdzie trochę o Uniwersytecie, zwłaszcza o polonistyce, która mogła chlubić się uczonym tej miary, co prof. Tadeusz Mikulski. Nie obca była nam także nazwa „Ossolineum". Do tych aż żenująco skąpych wieści można by jeszcze dodać najwyżej jakieś mgliste informacje o podobno pięknym gmachu PDT, ZOO i... trudno, chyba naprawdę już nic więcej. A zatem jechaliśmy właściwie w nieznane — odkrywać Wrocław...

Trzeba przyznać, że miasto to silnie i zaskakująco szybko podziałało na naszą wyobraźnię. Pierwsze kroki po wyjściu z pociągu i... olśnienie. Piękny, ogromny, jasny, kapiący czystością dworzec musiał wywrzeć niezatarte wrażenie. Jest w nim wszystko: kawiarnia, restauracja, poczta, fryzjer, krawiec, sklepy, kioski — prawdziwe miasto w mieście. Tego dworca z pewnością mogą pozazdrościć Wrocławowi wszystkie miasta polskie.

Następny krok i słowa piosenki stają się realną rzeczywistością — oto przed nami „mkną po szynach niebieskie tramwaje...". Chociaż, czy rzeczywiście mkną? Raczej wloką się. Odbudowa.

Wrocławiacy to ludzie niezwykle uprzejmi, z chęcią informują przybyszów: to fosa miejska, tam ratusz, zaraz będzie Uniwersytet. Nie, nie zaraz, bo ulica zamknięta i widać tylko potężne buldożery i ludzi szybko uprzątających gruzy. No cóż, trzeba to miejsce obejść. Ale za chwilę sytuacja się powtarza. Powtarza się nawet zbyt często, tak, że dla nas — śpieszących się ustawicznie — staje się to denerwujące. Pada deszcz. Trudno przez Wrocław przejść na szpilkach. Trudno. My jeszcze musimy przechodzić po gruzach, ale przecież chodzi o to, by nasi młodsi koledzy mogli już chodzić piękną, czystą drogą. Mamy po 20 lat. Kiedy waliły się te domy, matki zasłaniały nam oczy. Potem uprzątano gruzy szybko, jak najszybciej, by ich widok nie przerażał nas, dzieci. Dzisiaj zbliża się moment, jakże radosny, koniec życia ruin.

Wrocławska wiosna 1960. 15 lat dzieli nas od chwili, w której miasto wróciło do Polski, zaś 960 lat od założenia tu przez Bolesława Chrobrego biskupstwa. W tej chwili wszystko staje się jasne. Przypomina się jak na zamówienie „Kurier Lubelski", w którym przecież można było przeczytać wiele artykułów na temat przygotowań do obchodu Tygodnia Ziem Zachodnich. Trafiliśmy więc przypadkiem w samą porę, by naocznie przekonać się, jak pulsuje życiem serce tych Ziem, jak usuwa się ślady wojny, jak buduje, buduje, buduje... To jest właśnie Wrocław — miasto wędrujących rusztowań, miasto pracy, miasto, w którym nie można siedzieć bezczynnie, bo zaraża człowieka pośpiechem, rozmachem...

Zbliża się wieczór. Już murarze nie chlapią z rusztowań świeżym tynkiem. Można zrezygnować z tramwaju, ale i tak iść trzeba jezdnią, chodniki bowiem to jeden wielki las rusztowań, których wędrówka trwa w tym ogromnym mieście już 15 lat. Chyba jednak już niedługo brygady, które go odbudowują, przejdą wyłącznie do jego rozbudowy. Wydaje się, że wówczas pierwsze wrażenie uczynione na przyjezdnym będzie takie: Wrocław — miasto nowe.

Widziałam zrekonstruowane, przebogate, piękne gotyckie kościoły, widziałam słynny ratusz — prawdziwe cacko architektury, widziałam renesansowe kamieniczki wrocławskie — zupełnie do lubelskich podobne — tak samo najczęściej dwuokienne, może tylko wyższe, może jednak ładniejsze...

Przechadzając się nad miejską fosą długo myślałam nad historią tego miasta, historią, którą zaczęłam poznawać dopiero tu, na gorąco, w przerwach między obradami Zjazdu, w czasie przechadzek wzdłuż skarp, na których kwitną jaskry. Obliczałam mozolnie: Wrocław wznoszono prawie przez tysiąc lat — tysiące, tysiące rzemieślników, artystów, robotników, tony wapna, drewna, stali, praca, praca i czas... Jaką cenę zapłacić za to? Nie targujmy się o nią, sięgnijmy natomiast do rozdziału z eposu wrocławskiego o wymownym tytule: WOJNA.

Po kilkutygodniowym oblężeniu Wrocław został zniszczony w 70%. Niektóre dzielnice (np. południowe i zachodnie) przestały niemal zupełnie istnieć, ich zniszczenie sięgało 90%. Większość fabryk była kompletnie zdewastowana, urządzenia komunalne nieczynne, miasto bez wody, prądu, gazu i szyb. Wystarczyło kilku tygodni aby w perzynę obrócić dzieło kilkuset lat twórczego wysiłku człowieka. Czy wystarczy 15 lat, żeby to wszystko odbudować?

W ciągu 15 lat w wypalonych wnętrzach niektórych domów wyrosły brzozy. W wiosennym słońcu wyglądają niczem firanki. Myślę: w tych ścianach było życie. Wiem: w tych ścianach będzie życie. Po prostu rusztowania zrobią jeszcze jeden krok. Żal mi tylko młodych brzóz. Ale przecież brzozy nie muszą wyrastać na ruinach.

PS. W 1939 roku usunięto z Uniwersytetu Wrocławskiego studentów polskich. Jest tam pamiątkowa tablica poświęcona profesorom i studentom, którzy zginęli po to, by w tych samych murach mogli na zawsze zagościć polscy studenci i polscy uczeni. Prof. Pigoń powiedział kiedyś, że my zawsze strzelamy do wroga brylantami. Myślę, że miał pełne prawo to powiedzieć.

Nie wyobrażam sobie, bym mogła do tego miasta nie wrócić, chociaż znowu na kilka dni, posłuchać, jak bije równym rytmem serce Ziem Zachodnich, jak rozwija się, dźwiga i prostuje miasto — wczoraj ruin, dzisiaj — ich resztek, jutro — już tylko ich wspomnień.

PYTANIA I ODPOWIEDZI*

JÓZEF CZECHOWICZ

Ja, Marcus Quintus Cascellius, syn rycerza, co w amfiteatrze zaraz za senatorskimi ławami siadał, zrodzony w Pestum różanym, opowiedzieć chcę o zdarzeniu z lat, gdym niszczył niepotrzebne książki, zwój pergaminowy zapisując po drugiej stronie zadaniami szkolnymi.

Zdarzenie to wiąże się z pewną zabawą, mało u nas znaną, niemniej jednak słyszałem, iż na północy, a zwłaszcza u podnóża gór, nieraz dzieci igrają tak właśnie.

Pewnego dnia, gdy wyszliśmy ze szkoły, żegnając naszego bakałarza szyderczymi okrzykami, bowiem Greczyn to był z charakterem osłabionym przez falerneńskie wino, o czym nam dobrze było wiadomo, umyśliliśmy nie iść do domostw rodzicielskich, lecz udać się za miasto.

Troje nas było, Septimia, z rodu Cynnów, ja i Earinnus, z którym na połowę żywot dzieliliśmy jako serdeczni przyjaciele. Sukienka Septimii powiewała lekko, równie lekko chwiały się drzewa nad drogą, która nas wywiodła z murów wiecznego grodu w stronę wzgórz. Z tej drogi zeszliśmy na krętą ścieżkę, co kluczyła w pobliżu strumienia wśród gęstych zarośli, a pięła się ku górze, wyżej i wyżej.

Wołaliśmy nad strużką, aby się nam nimfa ukazała rzeczna, lecz próżne to było wołanie. Tylko jęki polatywały nad tonią i jaskółki, napełniające okolicę srebrnym świergotem.

Potem znaleźliśmy pośród pagórów domek pasterski, bardzo sielski, a w nim dwoje staruszków. Kozy tam beczały i pies szczekał do wilka podobny, a nad warzywnikiem wznosił się postrach złodziei, Priap cyprysowy.

Okazały był wielce ów kloc, sęk smolny miał na lewej pachwinie, motyle zaś uganiały jeden za drugim wokół roześmianej twarzy strażnika ogrodów. Earinnus nazbierał kwiatów, po które zresztą tylko schylać się trzeba było, taka tu ich mnogość, a potem Septimia uwiła z tego kwiecia gruby wieniec. Zawiesiliśmy go Priapowi na biodrach, aby nie był taki straszny, skoro uśmiech rozszerza mu twarz.

— Boże, ubierz się! — wołałem.

— Boże, goń mnie! — wołał Earinnus i udawał, że ucieka. Strażnik ogrodów uśmiechał się nieruchomo po dawnemu, a my, figlarze, wiedzieliśmy, że nie będzie nas gonił taki drewniany kloc, cokolwiekby o tym bajali kapłani i niewolnicy.

Pod wieczór się już miało, gdy znużeni bieganiem, rozlicznymi zabawami i swobodą, usiedliśmy na jakimś głazie, co po strzaskanej budowli etruskiej został i zaczęliśmy gawędę o wydarzeniach dnia.

Choć dzień ten przeżyliśmy razem, miło było opowiadać o jego godzinach od początku przerywając sobie nawzajem. Paplaliśmy o grze w piłkę, o lekcji szermierki, o gramatyce, o wyjeździe ojca earynowego, który z flotą wielką wyruszył do Afryki po zboże, śmialiśmy się z niewolników, co mieli nas odprowadzić do domów — gracko udało się nam zmylić ich czujność!

Powoli przesuwało się słońce na drugą stronę nieba, aż wreszcie stanęło nad zachodem. Ja i Eearinnus rzucaliśmy stilusami do celu, trafiając w narośl na starym platanie, dziewczynka zaś siedziała na kamieniu chmurna, gryząc źdźbło kwiatowe w pięknych, bardzo białych zębach.

— Czarownica — szepnął do mnie Earinnus, uchwyciwszy jej dziwne spojrzenie. A krążyła w szkole opowieść, że w rodzie Septimii kobiety na czarach się znają, trucizny warzyć umieją i leki i lubczyk. Nas, chłopców, niewiele to obchodziło, co prawda.

— Dwa razy nagabywaliśmy dzisiaj bóstwa — rzekła naraz Septimia — lecz, aby sztuka się udała, trzech prób trzeba.

— Co masz na myśli?

— Chcę się zabawić z wami w rozmowę z Sybillą.

— Coś o tym słyszałem, ale powiedz, o co chodzi — prosił Earinnus.

Lecz ja wiedziałem, że to ma być grzeszna zabawa, której oddają się dzieci z północy, a której matka mi zakazywała surowo, mówiąc: — Nie trzeba niepokoić umarłych, cóż dopiero tych, co na wpół umarli... Byłem więc przeciwny planom Septimii, ale niestety przyjaciel mój zapałał takim pragnieniem tej zabawy, że musiałem obojgu ustąpić. Zresztą, są sprawy, przy których bardziej bezpiecznie jest być we dwoje niż samemu, a lepiej we troje niż we dwójkę. Czyż mogłem opuścić powinowatą i przyjaciela?

Septimia powiodła nas nieco dalej, gdzie pod wysokim drzewem stała wpółrozwalona szopa. Weszliśmy tam. Niebo tymczasem sczerwieniało i upodobniło się do purpury amyklejskich tkanin. Tak, ogniste i świetliste stało w otworach okiennych ruiny.

Septimia na samym niemal progu potknęła się o starą, porzuconą flaszę i wówczas, widziałem to dobrze mimo rumianych odblasków z nieba, pobladła nieco, bowiem za dobrze nam się wiodło: butla potrzebna do zabawy sama wpadała nam w ręce.

Miałem nadzieję, że zbraknie powroza, lecz Septimia rozpasała Earinnusa i umocowawszy flaszę na jednym końcu złotego sznura, drugi poleciła mi przyczepić do sufitu. Uczyniłem to nie bez trwogi. Nabrawszy z klepiska dwie garście ziemi, dziewczynka przesypywała ją przez palce, a gdy wszystkie grudki i drobinki z powrotem znalazły się u jej stóp, dała nam znak. Wtedy chóralnie trzy głosy nasze zapytały:

— Sybillo, czego pragniesz?

Cisza wieczorna była nam odpowiedzią. Niebo gasło szybko, mroczniało, odmieniało kolory na coraz ciemniejsze i chyże chmury napłynęły nie wiadomo skąd.

— Nie udadzą się te dziecinne czary — powiedziałem — przecież trzeba dwa razy wołać bóstw. Wołaliśmy nimfę, wołaliśmy Priapa, ale Priap to nie Olimpijczyk, a nimfa...

Septimia uśmiechnęła się:

— Zagadniemy Syoillę raz jeszcze!

Znowu posypała się ziemia przez jej smukłe palce i ponownie rozległy się nasze głosy:

— Sybillo, czego pragniesz?

Z drżenia tych słów w ustach przyjaciela poznałem, iż zaczyna się bać. Ale teraz za późno było, aby się cofać. Próba raz podjęta musi być przeprowadzona do końca, inaczej nie bylibyśmy godni miana Rzymian i rówieśniczka gardziłaby nami w szkole i w ogrodach i zawsze.

— Sybillo, czego pragniesz?

Kiedyśmy zapytali po raz trzeci, mgła zielonawa zakłębiła się w egipskim szkle, a chłód pieczar olbrzymich opadł nam na barki. Długa była chwila milczenia, lęku i mroku, wreszcie z głębi pustej butli doszedł nas głos pełen rozpaczy:

— Umrzeć pragnę!

Głos kilkusetletni sparzył nas jak gdyby. Poderwaliśmy się i pobiegliśmy przed siebie bez opamiętania, a nie oparliśmy się aż na progach domów naszych. My, to znaczy ja i Earinnus, który żył połową mego życia, jak to o przyjaciołach filozofowie powiadają.

Po drodze pies podobny do wilka pogryzł mnie boleśnie, gdym pędził skacząc przez płoty, towarzysz mój zgubił szatkę i nagi przebiegł przez gwarne wieczorem miasto. Obaj nigdy nikomu nie powiedzieliśmy, co się dnia owego stało.

Niełatwa to była rzecz, bo rodzice pytali nas i ojciec Septimii, stary Cynna przy wigiliach dopytywał się, gdzie jest jego córka, bowiem nie wróciła już nigdy potem do domu, ni do miasta.

Opowiadać o grzesznej zabawie nie chcieliśmy, raz, że cóżby to pomogło Septimii, którą widać obce jakieś moce porwały, lubo po latach doszedł mnie słuch, że żyje w Bitynii jako wdowa po barbarzyńskim jakimś królu i wielkie poważanie ma w tamtej okolicy, po drugie, że przysięgliśmy jeden drugiemu, iż póki życia, nikt się nie dowie szczegółów wydarzenia, w którym dwaj Rzymianie, cóż z tego, że trzynastoletni, ulegli lękowi.

Dziś, po latach, gdy druh mój, Earinnus, trybun legii Warrusa nie żyje, gdy ja sam wkrótce opuszczę żywych, bo przyszło mi truciznę wypić z rozkazu cesarza, niewolny skryba opowieść tę z ust mych spisuje, bo winien to jestem zgrzybiałym rodzicom Septimii.

W ostatnich godzinach żywota wspominając tę chwilę wieczorną wśród wzgórz, idąc tam, gdzie wszyscy błądzić będziemy jako cienie, ja, Marcus Quintus Cascellius, tuszę sobie, iż boska Sybilla kumejska wybaczy mi zabawę z lat chłopięcych, którą zamąciłem jej i tak zmącone istnienie.

Ona, która wedle Heraklita „dzięki swemu bogu opiekuńczemu głosem sięga lat tysiąca", zna w wielkiej mądrości swojej dusze dziecięce i wie chyba, że lgnęliśmy do tego, co straszne, jeno z pustoty samej, a bez okruszyny złej myśli. Na błoniach zaziemskich usłyszę jej głos i tym razem ja będę cieniem wywoływanym, ona zaś zapyta:

— Marku, czego pragniesz?

Odpowiem:

— Boska Sybillo, pragnę twego przebaczenia...

Jeśli się zdarzy, że głos wieczystej usłyszę, teraz, podnosząc do ust puchar sokratejski, będę mógł odpowiedzieć jej własnymi słowami:

— Pragnę śmierci.

A zaraz potem nasyci się i pragnienie moje i śmierć.

*) Z niepublikowanej puścizny Poety.

Startujemy

K. A. J.

Przygotowując w r. 1933 do druku numer „Kameny" w najśmielszych marzeniach nie mogłem przypuszczać, że po 27 latach będę wspominał o tym starcie w numerze dwóchsetnym. Przecież przystępując z Zenonem Waśniewskim do eksperymentu, jakim było wydawanie bez zaplecza literackiego i mecenatu finansowego pisma tego rodzaju w prowincjonalnym Chełmie mieliśmy jedynie (bynajmniej nie skromną, jak nam się wtedy wydawało) ambicję — utrzymać nasze pismo przez rok, aby nie stało się efemerydą, której żywot urwałby się po dwóch — trzech numerach. A namnożyło się tych łątek literackich w Polsce już od tego czasu co niemiara: w pierwszym dziesiątku niepodległości bardzo szybko skończyły żywot takie pisma, jak „Gospoda poetów", „Quincunx" (kto o nich pamięta?), „Nowa Sztuka", „Ponowa", „Czartek", a w drugim dziesiątku — „Meteor", „Prądy", „Kadra", że wymienię tylko te tytuły. W Lublinie oczywiście nie było lepiej: „Lucyfer" (dwa numery), „Reflektor" (cztery), „Nowe Życie" (cztery), „Barykady" (dwa). Nasze pismo miało dociągnąć przynajmniej do dziesięciu.

Zaglądam do starych roczników „Kameny". W r. 1948 (nr 78—80) pisałem: „Myśl wydawania pisma literackiego w prowincjonalnej dziurze (Chełmie Lubelskim), liczącej podówczas 30 tysięcy mieszkańców, powstała w lecie 1933 r. na zebraniu towarzyskim, w którym wzięło udział kilku nauczycieli chełmskich interesujących się bliżej sztuką. Postanowiono opodatkować się na ten cel w wysokości 5—10 zł miesięcznie, wybrano skarbnika i administratora w osobie malarza Zenona Waśniewskiego i redaktora — niżej podpisanego. Składki letnie i wrześniowe mały pokryć nakład pierwszego numeru".

Otrzymaliśmy carte blanche co do charakteru periodyku i gospodarowania funduszem wydawniczym. Rozporządzaliśmy trzema miesiącami na zmontowanie pisma, które miało przyjść na świat we wrześniu. Zdecydowaliśmy, że rocznik naszego miesięcznika będzie odpowiadał rokowi szkolnemu: 10 numerów od września do czerwca włącznie. W miesiącach letnich pismo, dziecko nauczycielskie, będzie również korzystało z wakacyj.

Zaczęły się teraz „nocne rodaków rozmowy", ściślej mówiąc — narady naszej dwójki. Tytuł pisma. Z tym było wiele kłopotu. Wypisywaliśmy na kartce papieru kolumny nazw, skreślając jedną po drugiej. Tytuły o charakterze ideologicznym, tytuły zaczerpnięte z geometrii i krystalografii, tytuły pochodzenia mitologicznego. Ostały się wreszcie dwa rywalizujące ze sobą: „Syringa" i „Kamena". Oba sygnalizowały poetycki charakter miesięcznika. Oba nawiązywały do mitologicznych tytułów dwóch pism grupowych: „Skamandra" i „Kwadrygi". Ostatecznie zdecydowaliśmy się na „Kamenę", przewidując zresztą zarzut niezrozumialstwa (odsyłaliśmy wtedy do „Mitologii" Parandowskiego) lub tworzenie złośliwego i niebezpiecznego wówczas kalamburu: Kamena — Komuna.

Objętość numeru dostosowaliśmy do naszych możliwości finansowych — 16 stron formatu ósemki. Ale gdzie pismo drukować? W Chełmie były trzy drukarnie: „Zwierciadło", którego właścicielem był Kazimierz Czernicki, i dwie — żydowskie: Bronfelda i Wajnsztajna. Czernicki, człowiek rzutki, ale o szczupłych horyzontach

(Dokończenie na str. 6)

HELENA PLATTA

Homole

Turkoczącą dorożką po drożynie
człapie konik góralski szparko;
parskająca zieleń połoniny,
pluskająca dźwięczność Grajcarka.

Brzegiem, brzegiem w wesołych zawijasach,
gdy na wietrze brząkają muszelki —
jurny żart na chwilę przygasa,
choć łeb koński śmieje się z trzęzelki.

Widzisz? — Za ciosanym mostem,
w łamańcach, pokręcony, kosooki:
to Homole — tajemniczy wąwóz
zasiadł z żyłą złota nad potokiem!

Turkoczącą dorożką — w zakręt.
— Goście jadą, jeszcze i jeszcze...
Patrzy góral, konika pogania,
uśmiech tłumi, dymkiem się osłania,
— pyka fajeczkę.

Start-tujemy

(Dokończenie ze str. 5)

umysłowych, wydawał przez pewien czas tygodnik chełmski „Zwierciadło" (ta sama nazwa co drukarni), którego był redaktorem. Poziom tego pisma był bardzo słaby, ale ambicje wydawcy ogromne. Drukarnię miał lepiej wyposażoną niż jego konkurenci, ale był droższy. Licząc się z naszym stanem posiadania i obawiając się arbitralności i zbyt porywczego temperamentu Czernickiego *) postanowiliśmy wejść w porozumienie z Bronfeldem, choć wiedzieliśmy, że to się nie podoba chełmskim antysemitom, do których i Czernicki należał. Kosztorys, który przedstawił nam właściciel „Kultury" (tak nazywała się jego drukarnia), był bardzo umiarkowany: druk 300 egzemplarzy wraz z papierem i introligatornią, wkładką linorytową i okładką — miał wynosić około 70 zł. Wymieniony nakład „Kameny" może się dzisiaj wydawać śmiesznie niski. Ale przypomnijmy sobie, że w owych czasach zbiorki poetyckie wydawano w liczbie kilkuset książek. St. Kuglin w Poznaniu swoją estetyczną bibliotekę poetycką tłoczył w 120 egzemplarzach każdego tytułu. W takim samym nakładzie Łobodowski wydał w Lublinie „Rozmowę z ojczyzną" i „U przyjaciół".

Układając pierwszy numer „Kameny" postanowiłem oprzeć się na kolegach lubelskich, do których zwróciłem się z prośbą o materiały. Poparli chętnie moją inicjatywę, życząc powodzenia w ryzykownym przedsięwzięciu, którego rychłą plajtę przewidywali z pewnością.

We wrześniu 1933 r. — data historyczna dla „Kameny" — ukazał się jej numer pierwszy, o którym Czechowicz tak pisał do mnie: „Winszuję „Kameny". Nic to, że zewnętrznie niedociągnięte, nic to, że tu i ówdzie mogłoby być lepsze. Całość jest pięknym wysiłkiem. Nie ustawaj. Ze swej strony pomogę Ci jak umiem — to znaczy — dam kupę materiału".

Jak wyglądał ten inauguracyjny zeszyt „Kameny"? Zielona okładka z tytułem wydrukowanym u dołu. Wydłużona do samej góry szeroka linia należąca do początkowego „k" wypełnia lewą granicę okładki. W prawym kącie u góry jedynka tej samej szerokości i biegnąca równolegle do tej linii oddziela „rok 1933" i widniejący pod nim „wrzesień" od reszty okładki.

Zeszyt otwierał wiersz Franciszki Arnsztajnowej, seniorki poezji lubelskiej, „Na Olejnej". Po niej — „Dzieciństwo" Józefa Czechowicza, dalej „Szczęście" K. A. Jaworskiego, po którym następowała pierwsza część poematu Józefa Łobodowskiego „Noce lubelskie". Poezje oryginalne autorów lubelskich zamykał utwór Antoniego Madeja „U dna tego". Ponieważ założeniem redakcji było zamieszczanie w piśmie i przekładów poetyckich, w „Kamenie" znalazły się wiersze francuskie: „Ostrokoły" Apollinaire'a w tłumaczeniu Czechowicza i wiersze Mauriaca w przekładzie K. A. Jaworskiego. Poezję czeską w tłumaczeniu Madeja reprezentowali Mila Buresz i Jarosław Zatloukal. Madej dostarczył również materiału do kroniki słowiańskiej. „Kamena" nigdy, nawet w okresie, gdy poświęcała uwagę przede wszystkim poezji, nie była pismem pięknoduchów i w ten czy inny sposób reagowała na wypadki rozgrywające się w Niemczech, Włoszech czy Hiszpanii nie zapominając i o Polsce. Do tego celu służyły aktualne wiersze, noty, impresje, oświadczenia redakcji itp. I właśnie w numerze pierwszym „Kameny" ukazała się taka polityczna impresja Flamena (K. A. Jaworskiego) pt. „Słup dymu". Warto ją przypomnieć, gdy w NRF dawni faszyści podnoszą głowę. Jest zresztą krótka.

Słup dymu wzbijający się ponad placem Opery w Berlinie pamiętnej nocy 10 maja 1933 r., słup dymu ze stosu inkwizycyjnego, powitany faszystowskim podniesieniem ręki przez współczesnych Hunnów, — ma głębsze symboliczne znaczenie niż to się hitlerowcom wydaje. Spłonęli Marks, Engels, Bebel i Lenin; odtąd niemiecki robotnik ma być bezdusznym niewolnikiem.

Padli pastwą płomieni Remarque, Renn i Barbusse, gdyż przeć się będzie do wojny, którą należy gloryfikować.

Zgorzał Tomasz Mann: dzikus w brunatnej koszuli nie może mieć współczucia nawet dla umierających w Davos suchotników.

Na stos Arnolda Zweiga! Gdy się morduje Stellinga, cóż warta jest głowa rosyjskiego chłopa. Już nikt w Niemczech nie upomni się o życie biednego sierżanta Griszy.

Wassermanna w ogień, gdy tysiące niewinnych Mauriziusów zapełnia obozy koncentracyjne.

Kellermanna też. Nie trzeba „Głupców", gołębiego serca pastorów. Młody Nazi nie zrozumie miłości Ingeborgi.

Zniszczyć Sinclaira. Niemieccy „Emile" już odnaleźli swoją prawdę. A „Bostonem" jest każde miasto germańskie. Tołstoja spopielić! Szkodliwe są wyrzuty sumienia Niechludowa. Piotr Bezuchow wart więzienia. Litości, litości przynajmniej dla Jacka Londona. Wszak to siła, hart, zdrowie, a przymioty te przydadzą się i hitlerowcom. Ale London jest mazgajskim humanitarystą, występującym w obronie nawet męczonych zwierząt. Ale London czci kobietę, gdy w brunatnym domu znęcają się nad nią, skoro myśli inaczej, niż Führer. Ale London potępił bestię Wolfa Larsena, a z kogóż się składają przywódcy Nazi?

Płomienie stosu, na który barbarzyńcy cisnęli dzieła największych pisarzy, nie wyrządziły książkom żadnej szkody. Ale blask ognia oświetlił wyraźnie prawdziwe oblicze niemieckiego faszyzmu.

Treść pierwszego numeru „Kameny" uzupełniały noty i rubryka „Pro urbe sua", dotycząca życia kulturalnego Chełma i poważnych jego braków. Jeszcze jeden dowód, że „Kamena" stąpała po ziemi.

Zenon Waśniewski, malarz i grafik, stale zamieszczał w naszym piśmie swoje linoryty. To ze względu na „Kamenę" właśnie zainteresował się tym rodzajem grafiki, z każdym numerem robiąc coraz większe postępy, tworząc nieraz wkładki o wysokim poziomie artystycznym. W numerze pierwszym znalazła się reprodukcja chełmskiego Kościoła Mariackiego.

Jak z tego przeglądu treści wstępnego zeszytu „Kameny" wynika, nie wystąpiłem z żadnym programem nowego pisma. A jednak program ten w głównych zarysach był już ułożony i numer pierwszy zawierał w zalążku prawie wszystko, co założyliśmy sobie przystępując do wydawania w Chełmie pisma literackiego i co przedstawiliśmy czytelnikom w ostatnim (10) numerze pierwszego rocznika: pismo poświęcone głównie poezji ze szczególnym uwzględnieniem awangardy, choć bezpartyjne, umiejscowione po lewej stronie barykady („Słup ognia"), propagujące zbliżenie kulturalne narodów słowiańskich (przekłady z czeskiego), drukujące przekłady poezji zachodniej (w tym numerze — Apollinaire i Mauriac), uwzględniające region, choć nie rezygnujące z dalszej ekspansji. (Już w pierwszym roczniku przewinęły się nazwiska autorów nie tylko lubelskich, ale i z innych części ówczesnej Polski: Warszawy, Łodzi, Lwowa, Krakowa). Poza tym „Kamena" umożliwiała debiuty początkującym poetom.

Ale największe curiosum (już nie myślę o numerze pierwszym, ale o całym sześcioletnim okresie chełmskim): pismo nie miało mecenasa, który by je utrzymywał dając pieniądze, stawiał jakieś warunki i krępował redakcję. „Kamena" była całkowicie niezależna. Kapitałem naszym była młodość, był nasz entuzjazm. I redaktor, i administrator pracowali zupełnie bezinteresownie, dwoili się i troili, będąc jednocześnie korektorami i chłopcami na posyłki, dźwigającymi pisma na pocztę, aby je wyekspedować adresatom. A drukujący w „Kamenie"? Dosłownie nikt nie otrzymał żadnego honorarium, nikt się o nie nie upominał, uważając ten anormalny stan rzeczy za zupełnie naturalny...

K. A. J.

*) Kazimierz Czernicki zginął w czasie okupacji śmiercią bohatera, rozstrzelany wraz z synami przez hitlerowców za pracę konspiracyjną.

(Dokończenie ze str. 1)

wione uroku herbatki, dyskusje, w czasie których wadziło się z Bogiem, sanacją, starostą i inspektorem szkolnym. Ileż to wzruszających wspomnień z romantycznych, pieszych wędrówek w śnieg, deszcz, zawieruchę. I miało się za złe młodemu nauczycielowi, że nie chce chodzić pieszo, że ziewa na zebraniach ZOZ czy MOZ. Romantycy, pielęgnujący legendy, orzekli więc, że należy zastąpić nic nie mówiące ZOZ-y dobrymi ogniskami. I cóż? Nic się nie zmieniło. Młodzi w dalszym ciągu ziewają, wcale nie chcą się łzawić, kiedy starsi koledzy drżącym głosem snują opowieści o tym, jak to illo tempore bywało. Ognisko skupiało ludzi buntu, pokrzywdzonych, upokorzonych. Przemarsz na zebranie, obrady przy lampce naftowej, nawet picie herbaty zakupionej z dobrowolnych składek było wyrazem solidarności braci nauczycielskiej przeciwko wystąpieniom różnych ministrów, którzy nauczycieli nazywali „dwudziestoletnimi chłopakami". To wszystko należy do historii. Mówimy różnymi językami. W erze pojazdów kosmicznych nauczyciel nie chce godzinami ględzić na tematy abstrakcyjne, nie chce człapać po błotnistej drodze, słusznie ciuła grosz do grosza, aby własnym motorem dojechać po dobrej szosie na koleżeńskie spotkanie, zobaczyć nowe twarze, ciekawych ludzi, zabawić się w gronie pogodnych przyjaciół. Nawet referatu nie jest ciekaw. Tyle słyszy pogadanek, prelekcji, odczytów w radio. I to znakomitych mówców, najlepszych speców.

Oczywiście, obraz przeze mnie przedstawiony nie jest dostatecznie pogłębiony, nie jest jednakże zafałszowany, mimo iż ukazany w dużym akrócie.

Czy nie można go przenieść i na inne środwiska? Chociażby na stare pokolenie działaczy ludowych, którzy wciąż wspominają ze wzruszeniem swoje piesze wędrówki na konferencje wiciowe. Chodziło się ongiś i po czterdzieści, ba, i po sto kilometrów pieszo. Dziś młody człowiek pyta ze zdumieniem: — A po co? Przecież są pociągi. Jest auto-stop, są motory, w skrajnej ostateczności rowery...

Twierdzę, że do obecnych nowych treści należy szukać i nowych, atrakcyjnych form. Dawniej chłopu usuwał ząb kowal czy znachor. Dziś robi ekstrakcję stomatolog z wyższym wykształceniem, którego gabinet znajduje się o 2 km od chorego.

Czy znaleźliśmy te nowe, godne naszych czasów, formy? Nie. Po nieudanych próbach, wróciliśmy do starych, nic nie mówiących ani średniemu, ani młodemu pokoleniu.

Sojusznicy

Naturalnym sojusznikiem inteligenta osiadłego w osadzie czy na wsi powinien być inteligent zamieszkały w dużym ośrodku kulturalnym. Powiedzmy sobie szczerze, że inteligent — twórca: pisarz, plastyk, muzyk ogranicza swoje kontakty z prowincją do rzadkich wizyt, które traktuje jak wyprawę na biegun, mającą jedyny atrakcyjny moment: niezłe honorarium (vide spotkania autorskie). Inteligent wielkomiejski ciągle jeszcze wybrzydza się na swego kolegę z głuchego Zalipia i zerka nań, jak wielki szlachcic na szlachetkę chodzącego w łykach.

Zamiast biadolić nad regresem naszej prowincjonalnej inteligencji, spróbujmy dotrzeć do tej wielkiej, mniej lub więcej twórczej inteligencji, by wyjaśnić jej, jaką funkcję powinna ona pełnić w naszej epoce.

Wnioski

Są krótkie. Szukajmy w pracy kulturalno-oświatowej nowych sprzymierzeńców w środowiskach ludzi, których wychowaliśmy i wykształciliśmy w okresie szesnastolecia.

Postarajmy się przychwycić dla celów kulturalno-oświatowych całą bez wyjątku inteligencję osiadłą dobrowolnie na głębokiem zapleczu.

Sprawa nie wymaga nawet wielkiego wysiłku. Potrzebna jest dobra wola i odurzędniczenie aparatu, któremu powierzono najszczytniejszą funkcję w naszym państwie: troskę o udostępnienie dóbr kulturalnych wszystkim obywatelom.

Waldemar Babinicz

POSTULATY PROWINCJI

O SPOTKANIU NAD ODRĄ...

(Dokończenie ze str. 4)

Zjazd wrocławski był trzecim z kolei. Poprzedni odbył się rok temu w Katowicach (i Świerklańcu). Z przebiegiem tamtego, drugiego zjazdu, można się dokładnie zapoznać, czytając starannie przygotowaną przez Wydawnictwo „Śląsk" publikację — niemal stenogram obrad. Nie wiem, czy „Śląsk" zamierza wydać podobną książkę poświęconą zjazdowi we Wrocławiu. Zadanie bardzo niewdzięczne.

Za rok pisarze Ziem Zachodnich spotkają się znowu, tym razem w Szczecinie. Temat — maryńistyka, ciągle jeszcze tylko lekko wytrzebiona dżungla w naszej literaturze powojennej. Należy żywić nadzieję, że problemów do dyskusji nie braknie, chociaż wolę patrzeć przez szkiełko pesymizmu. Zawsze lepiej rozczarować się in plus.

Marek A. Jaworski

PAUL CELAN

Hasło

Przełożył
EDWARD MARTUSZEWSKI

Razem z kamieniami
opłakiwanymi
za kratą
powlekli mnie
na środek targu,
tam,
gdzie rozwija się sztandar,
któremu wcale nie przysięgałem.
Flecie,
podwójny flecie nocy:
pomyśl o ciemnych,
bliźniaczych łunach
Wiednia i Madrytu.
O, wspomnienie,
opuść swój sztandar do połowy masztu.
Do połowy masztu
na dziś i na zawsze.
O, serce,
daj o sobie znać również
tu, w środku targowiska.
Rzuć hasło
w obcość ojczyzny.
Luty. No pasaran.
Jednorożcu:
opłakujesz kamienie,
opłakujesz wodę,
chodź,
zawiodę cię hen,
do głosów
Estremadury.

SPROSTOWANIE

Do wiersza Eugeniusza Żytomirskiego „Zima", zamieszczonego w nr 5 (195) „Kameny", wkradł się błąd drukarski. Początek wiersza powinien brzmieć:

Zima z obrazków — wspomnieniami,
zima ze wspomnień — obrazami,
sankami wraca, tornistrami,

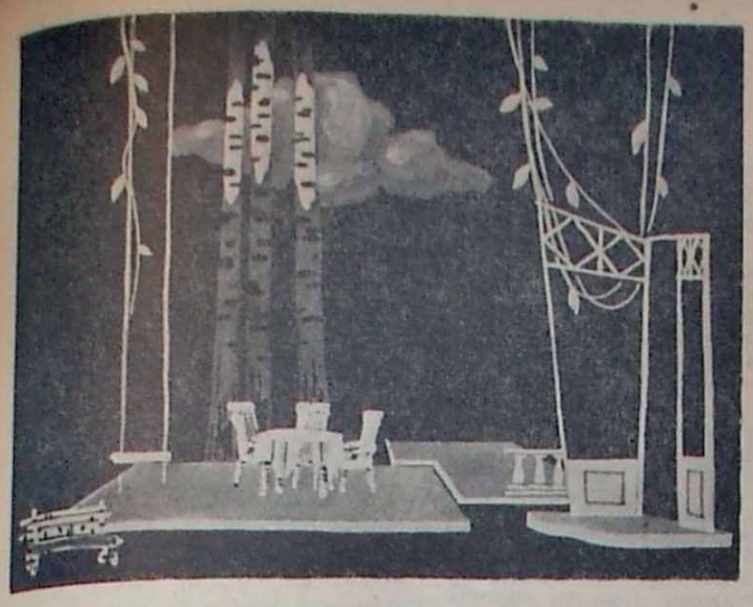

Janusz Warpechowski — Dekoracja do aktu I „Wujaszka Wani" Czechowa

Z TEATRU IM. OSTERWY

„Trzeba mieć litość"...

ANNA TATARKIEWICZ

Można powiedzieć, że dramaturgia Czechowa jest prosta jak życie, to znaczy jak życie skomplikowana. I tą samą co życie nastręcza trudność: że wszelka interpretacja, a więc próba schematyzacji — trywializuje ją, zuboża, spłyca. W miarę jak upływa czas, jak ewoluują gatunki dramatyczne i doskonalą się narzędzia literackiej analizy, twórczość Czechowa ukazuje wciąż nowe aspekty, dezaktualizując dotychczasowe interpretacje i prowokując do szukania nowych, które — jak przypuszczać można, także nie okażą się ostateczne.

Czechow, pisarz-społecznik, dręczył się świadomością, iż nie umie odpowiedzieć na pytanie najważniejsze „co robić", że nie ma żadnej „idei ogólnej". To ograniczenie, ten niewątpliwy brak, jeśli patrzeć na Czechowa ze stanowiska czynu społecznego — jest jedną z przesłanek jego ponadczasowości. Czechow nie dawał recept na doraźne schorzenia współczesnego życia, ale za to jak nikt inny ukazywał i to, co w tym życiu było doraźne, właściwe tylko danej chwili, i to, co w nim było po prostu — ludzkie. Malując świat, to znaczy człowieka — od zewnątrz, Czechow pozostaje w ramach XIX-wiecznej opisowości, ale istotną materią swej dramaturgii wychodzi daleko w nową epokę. Przedstawiane przez niego stany i postawy psychiczne znajdą się wśród głównych wątków literatury XX wieku. A konwencja, z pozoru spoiście zeszłowieczna, przynosi już znamiona rozbicia właściwego gatunkom literackim naszych dni. To — oczywiście — sprawa słynnego czechowowskiego podtekstu, to sprawa tak znamiennych monologów, obcych poetyce realistycznej czy naturalistycznej.

Bohaterowie Czechowa są dojmująco samotni, nieszczęśliwi, skłóceni nie z sobą nawzajem, ale z życiem. Wiek XX wyabstrahuje analogiczne sytuacje psychiczne z konkretu, odrze z osłonek to, co u Czechowa płynie dyskretnym nurtem podtekstu, odpowiednio spreparowany monolog wewnętrzny uczyni jedną z zasadniczych form wypowiedzi scenicznej. Niedomówienie przejdzie w krzyk, od którego rozpęknie się skorupa tradycyjnych gatunków. I sztuki Czechowa wymykają się już tradycyjnej klasyfikacji. Wujaszek Wania przeżywa d r a m a t niewczesnej miłości bez szans; jest t r a g i c z n y, gdy uświadamia sobie, jak głupio zmarnował życie: staje się komiczny, gdy w swym — uzasadnionym skądinąd — gniewie przyrównuje się do Nietzschego i Dostojewskiego; wkracza w dziedzinę g r o t e s k i, grożąc profesorowi rewolwerem — i dwukrotnie pudłując...

Sztuki Czechowa nasycone są elementem osobistym, ale nie ma w nich żadnej formy odautorskiego komentarza. Tylko z charakteru postaci, z układu ich wzajemnych stosunków odgadnąć można, jakie uczucia budziły one w samym autorze. Uczucia te idą od sympatii, uznania, współczucia aż po zjadliwy sarkazm. Nie ma natomiast w tej skali miejsca ani na podziw, ani na oburzenie. Czechow nie stawia swych postaci za wzór, najwyżej je aprobuje; nie potępia ich, chyba tylko kompromituje. A czyni to najchętniej w chwili, gdy wspinają się na piedestał.

W „Wujaszku Wani" postacią najdoszczętniej skompromitowaną przez własne słowa i postępowanie jest profesor Sieriebriakow; on też reprezentuje mentalność najbardziej obcą i szczególnie nienawistną samemu autorowi: tępe zarozumialstwo, nadętą nicość, ślepy na wszystko egoizm. Sieriebriakow jest skończenie antypatyczny, ale i w nim jest coś, co budzi współczucie: istotna choroba tego hipochondryka, starość. I dlatego słyszymy współczujący głos Czechowa w słowach Niani: „Starzy to jak dzieci, chcieliby, aby ich kto pożałował, a starych nikt nie żałuje".

Inny wypadek przedstawia żona profesora, Helena — piękna, młoda, inteligentna, uzdolniona, życzliwa innym. Ale ta kobieta, tak bogato obdarowana, żyje w niewoli pozorów. Wyszła za starca, uwiedziona pozorem wielkości, a potem, uświadomiwszy sobie swój błąd, nie ma sił pójść za prawdą bodaj własnych zmysłów. Przez słabość, nie przez niewiedzę, jest i pozostanie pięknym pasożytem, pozbawionym autentycznego życia.

Był czas, że krytyka radziecka i inna w postaciach Wojnickiego, Astrowa, Soni — dopatrywała się „bohaterów pozytywnych". Czechowowski numer „Tieatra" świadczy, że koncepcje te należą do przeszłości. W istocie u Czechowa nie może być mowy o „bohaterach pozytywnych"; bo nie ma u niego pozytywnego programu; są tylko ludzie, z którymi widz może się uczuciowo mniej lub bardziej solidaryzować. Gama uczuć budzonych przez Wujaszka Wanię i Astrowa jest najbogatsza, najróżnorodniejsza. Postać Iwana Wojnickiego, jak starałam się ukazać, oscyluje od tragizmu do groteskowości. W chwili, gdy mówi o swych zaprzepaszczonych możliwościach, sytuacja nielitościwie drwi z jego słów. Wojnicki był zapewne inteligentniejszy i wartościowszy od otoczenia, ale i on dał się złapać na blichtr profesorskiej wielkości, co świadczy dowodnie o granicach jego intelektu. O swoistym niedołęstwie, „niemożności" Wani, mówi w metaforycznym skrócie aż groteskowa scena niefortunnej strzelaniny.

Astrow zaś, pozytywista podszyty dekadentem, Astrow, pięknoduch, inteligentny, zdolny, wrażliwy na ludzką nędzę — Astrow pije, a prócz tego Astrow w gruncie rzeczy jest egoistą, „nikogo nie kocha", nie dostrzega nawet dość oczywistego uczucia Soni.

U Czechowa nie ma bohaterów, ale jest wyraźna gradacja moralna, przy czym głównym kryterium wartościowania moralnego jest stosunek danej jednostki do pracy. Praca — i cierpienie — nadają człowiekowi rangę moralną. I Astrow i Wojnicki na swój sposób są ludźmi pracy, w jeszcze większym stopniu pracownikami są — Tielegin, Niania, i Sonia. Niania powiada do rozżalonego Tielegina: „Wszyscyśmy darmozjady u pana Boga, ale ani ty, ani Sonia, ani Iwan Pietrowicz — nikt nie siedzi bez pracy, wszyscy harujemy". U Tielegina walory moralne łączą się z jakimś infantylizmem, ograniczeniem intelektualnym; u Niani — ze swoistym sybarytyzmem. Postacią najczystszą i najpełniejszą moralnie jest Sonia. Ta nieładna dziewczyna gospodaruje, uczy, leczy i w pracy dla innych znajduje paliatyw na tragedię osobistą; jej to współczucie i przykład nieefektownego heroizmu ratuje Wojnickiego przed ostatecznym załamaniem.

Specyficzną atmosferę, w jakiej dławią się bohaterowie Czechowa, wywodzi się zazwyczaj z atmosfery, w jakiej wypadło żyć autorowi. Jak pisze Tomasz Mann w swym pięknym eseju o Czechowie: „Na kraju ciążył absolutystyczno-konserwatywny system rządów Aleksandra III i jego straszliwego Pobiedonoscewa, system melancholii. Toteż melancholii — w dosłownym znaczeniu — uległ niejeden subtelniejszy... umysł z otoczenia Czechowa". Melancholią tchną dramaty Czechowa, trudno jednak przesłanek owego nastroju szukać tylko w samych warunkach zewnętrznych. Zapewne atmosfera Rosji aleksandrowskiej sprzyjała chorobom duszy, na jakie cierpią bohaterowie Czechowa, ale choroby te wykraczają poza określoną formację społeczną. Niezaspokojone dążności, bezwzajemna miłość, poczucie bezsensu, a w następstwie — neurastenia i szukanie pociechy w alkoholu — to sprawy stare jak cywilizacja i chyba nieprędko znajdzie się na nie skuteczny antybiotyk. Z tym, że w pewnych okresach przybierają one charakter epidemiczny, w innych, jaśniejszych — są czymś sporadycznym, ale nie mniej dotkliwym.

Bohaterowie Czechowa wierzą — jak on sam wierzył — iż dla ludzkości nadejdą inne czasy, gdy wszyscy będą wiedzieli, jak i po co żyć. Mann w cytowanym już eseju tak komentuje ten wzruszający optymizm: „Jest to jedna z euforycznych wizji przyszłości, na jakie twórca niekiedy pozwala sobie lub którejś ze swych osób, chociaż wie, że życie jest problemem bez wyjścia". Mają one z lekka gorączkowy charakter i mogłyby czynić wrażenie subtelnych majaczeń gruźlika; tak na przykład, gdy mówi o „czasach być może już bliskich, gdy życie stanie się takie jasne i radosne, jak ten cichy, niedzielny poranek". Zarysy jego obrazu przyszłej społecznej doskonałości są mgliste. Jest to obraz zbudowanego na pracy — zjednoczenia prawdy i piękna. Ale czy w marzeniu Czechowa o olbrzymich, wspaniałych domach, z cudownymi parkami i fontannami, które powstaną na miejscu przeżytego, czekającego na swój koniec miasta — nie ma czegoś z socjalistycznego impetu budownictwa, którym współczesna Rosja przy całym strachu i całej wrogości, jakie wzbudza — imponuje Zachodowi?"

Z utworów Czechowa można wysnuwać różne wnioski. Osobiście sądzę, że nie sprzeniewierzymy się duchowi wielkiego dramaturga zachowując w pamięci posłanie zawarte w słowach i w losie Soni: „trzeba mieć litość" i w pracy dla innych szukać lekarstwa na ból istnienia...

* * *

W chwili obecnej toczy się dyskusja, jak należy wystawiać Czechowa. Na ogół wszyscy godzą się, że dotychczasowe inscenizacje, sięgające tradycją czasów autora — coraz bardziej tracą rację bytu. Epoka, w której Czechow żył, dla pokolenia średniego i młodego — to już tylko historia. Sztuki Czechowa historią nie są, i tu właśnie tkwi zasadnicza trudność. Inna jeszcze wynika stąd, że sztuki Czechowa pisane były na instrument teatru XIX-wiecznego, a instrument ów obecnie mocno wyszedł z mody. Rzeczą nowatorskiej inscenizacji byłoby więc takie przetransponowanie partytury czechowowskiej, by nic nie roniąc ze swych istotnych treści — zabrzmiała nowym tonem. O ile wiem, jak dotychczas nikomu się to jeszcze w pełni nie udało.

Teatr lubelski dał spektakl osadzony w kolorycie epoki, niepozbawiony akcentów rodzajowości, a więc zgodny z tradycyjnym ujęciem i trudno mieć o to do reżysera pretensję. Zwłaszcza, że p. Tobiasz przedstawienie poprowadził kulturalnie, z umiarem, trafnie na ogół rozkładając akcenty. Bardziej „nowoczesna" — przynajmniej jeśli idzie o dekoracje, jest scenografia. Zresztą nie wydaje mi się, by stanowiła ona najbardziej udane dzieło Warpechowskiego. Dekoracja ogrodowa słusznie nawiązuje do malarstwa impresjonistycznego, ale jest chyba jakaś dysproporcja między umownością elementów dekoracji a brutalną dosłownością rekwizytów; brak im wspólnego mianownika, który może dałby się osiągnąć przez bardziej wyrafinowane efekty świetlne. Światło elektryczne — nie używano go w teatrze czasów Czechowa — jest bezlitosne i ani trochę impresjonistyczne. Scenę nocną widziałabym najchętniej przy świecach lub autentycznej lampie naftowej. Chybione wydaje mi się wnętrze wiejskiego domu; ale tego typu wnętrza to dla młodego pokolenia już także historia.

Postacie Czechowa wymagają od swych odtwórców albo wielkiego talentu i umiejętności, albo — bezpośredniości i prostoty. Tak właśnie, bez fałszywego tonu, prosto a prawdziwie zagrała Sonię M a r i a O r w i d ó w n a, kreująca tę rolę w zastępstwie chorej koleżanki, po kilku ledwo próbach. To była rewelacja wieczoru. Nie zawiódł J a n u s z C y w i ń s k i w roli tytułowej. Cywiński grał powściągliwie, unikał pułapek melodramatyzmu, w scenie buntu osiągnął dużą siłę wyrazu, w finale budził współczucie środkami wcale nie zewnętrznymi. Uczciwa, solidna robota. Astrow natomiast... O ile całość spektaklu trzeba zapisać na „plus" Tobiasza-reżysera, trudno pogodzić się z wizją Astrowa daną przez Tobiasza-aktora. Zamiast fascynującego intelektualisty, który pije, aby zalać robaka melancholii, ujrzeliśmy nałogowca z niezbyt uzasadnionymi pretensjami do intelektualizmu. Co prawda rola Astrowa jest najtrudniejsza w sztuce i wymaga mistrzowskiego warsztatu aktorskiego. Nie wydaje mi się też słuszna koncepcja S t a n i s ł a w y Z a w i s z a n k i, która w postaci Heleny wydobyła prawie wyłącznie sztuczność, upraszczając tę złożoną i bardzo ludzką postać. R y s z a r d o w i K o l a s z y ń s k i e m u nie udało się trafić w charakterystyczny ton profesorskiej powagi, ani też oddać tragedii starości. Blado, chwilami groteskowo, wypadła stara Wojnicka D a n i e l i K o l a s z y ń s k i e j. Natomiast E l e o n o r a O s s o w s k a ciepło i po ludzku zagrała starą wieśniczkę, a K a z i m i e r z I w o r zarysował udaną, w miarę śmieszną w miarę wzruszającą postać „Wafla".

Czechow — to wielka próba sił. Nawet połowiczne zwycięstwo znaczy tu więcej, niż przy innym repertuarze pełne, ale za to tańsze sukcesy.

Dąbrowska o Conradzie

(Dokończenie ze str. 3)

obojga artystów: zbyt często się zapomina, że Dąbrowska, prezentująca swój epicki temperament w „Nocach i dniach", odznacza się przecież bardzo Conradowską skłonnością do portretowania ludzi od wewnątrz, w całym bogactwie i skomplikowaniu ich psychiki i moralności.

Wspomniałem już, że „Szkice o Conradzie" wydają mi się najciekawszą prezentacją Dąbrowskiej w eseju (przecież noty literackie i recenzje wypełniające początek książki są w istocie prolegomenami, wprawkami do tego, stanowiącego rdzeń „Szkiców", trudnego rodzaju pisarskiej wypowiedzi). Myślę, iż efekt taki przypisać należy przede wszystkim skoncentrowaniu się Dąbrowskiej na jednym pisarzu, osaczaniu go różnymi przesmykam problemowymi i literackimi, transpozycji w ten swoisty sposób na essej, zmieniającej chętnie perspektywy i wątki metody epickiej. Jest to oryginalna satysfakcja, udzielona wiernym czytelnikom „Myśli o ludziach i zdarzeniach", do których osobiście się zaliczam — każdy ich bowiem fragment, o Prusie czy o Gogolu, domagał się właśnie takiej uzupełniającej i dopełniającej otoczki, jaką dla każdego swego członu stanowią właśnie pozostałe „Szkice o Conradzie".

Nie mogłem się jakoś pogodzić czytając kończące książkę „Pożegnanie z Conradem", że utrwalone na piśmie świadectwa kontaktu Dąbrowskiej z autorem „Ocalenia" urywają się ostatecznie i bezpowrotnie. Nie mogła się zresztą z tym pogodzić i sama Dąbrowska, publikując już po ukazaniu się tomu cenne uzupełnienia do niego na łamach „Nowej Kultury". I ten fakt napawa mnie nieśmiałą nadzieją, iż „Szkice" są p i e r w s z ą książką Dąbrowskiej o Conradzie...

Zbigniew Pędziński

Widzi mi się

CZYTUJĘ KRYMINAŁY...

Do literatury tego rodzaju miałem słabość od dzieciństwa. Zaczęło się od literatury w cudzysłowie, kiedy to rozczytywałem się w tanich brukowych zeszycikach anonimowych autorów, przedstawiających przygody wspaniałych detektywów: Sherlocka Holmesa, Nata Pinkertona, Nicka Cartera i innych mniej głośnych, jak Pata Connera czy Harry Dicksona. Zwłaszcza pasjonowałem się seriami przygód Nicka Cartera, tj. zeszytami zawierającymi pewną ciągłość akcji związanej z tropieniem nieuchwytnego zbrodniarza — Carruthersa, doktora Kwarca, Dazara czy japońskiego szpiega Matuszimy. Ale była to tylko zaprawa poprzedzająca przejście do klasyka kryminałów Conan Doyle'a, jak zaprawą były westerny z Buffalo Billem czy Jackiem Texasem, zanim zacząłem czytać Coopera czy Mayne Reida.

I dzisiaj od czasu do czasu zaglądam do kryminałów i wcale się tego nie wstydzę. To też literatura i literatura potrzebna, a niełatwa, jeśli autor ma większe ambicje i nie zadowala się szmirą. A namnożyło się tych kryminałów — i tłumaczonych i oryginalnych — w ostatnich czasach mnóstwo. Tak wielki był ich głód po latach przymusowej ascezy w stosunku do utworów sensacyjnych w ogóle. Są to rzeczy bardzo nierówne — obok nielicznych utworów doskonałych drukuje się wiele rzeczy słabych, a nawet znajdujących się na pograniczu grafomanii.

Więc najpierw klasycy — twórca literatury kryminalnej Edgar Allan Poe ze swym bohaterem, analitykiem zbrodni, Augustem Dupinem — prototypem Sherlocka Holmesa; twórca znakomitego detektywa z Baker Street — Conan Doyle; Chesterton z ojcem Brownem, rozwiązującym zagadki kryminalne intuicyjnie, w chwilach jakiegoś olśnienia i Agata Christie z bardzo prozaicznym z wyglądu, wąsatym Herkulesem Poirot, posługującym się, podobnie jak Holmes, dedukcją. Widzimy ich wszystkich dobrze, bo zaprzyjaźniliśmy się z nimi; zwłaszcza wygolona twarz Holmesa z nieodstępną fajką w ustach i pękata postać dobrodusznego tłuściocha ojca Browna wryły się nam w pamięć.

Pierwsi trzej klasycy literatury kryminalnej uprawiali raczej opowiadania niż powieści (wyjątek Conan Doyle — „Pies Baskervillów" i dwa inne utwory). I z pewnością napisanie noweli kryminalnej, która wymaga dużej kondensacji, jest trudniejsze. Dzisiaj spotykamy się przeważnie z powieściami i to zarówno w przekładach, jak i w utworach oryginalnych.

Jak wyglądają te przekłady? Na czele z pewnością kroczy Agata Christie, zwłaszcza w „Pięciu małych świnkach", gdzie Poirot rozwiązuje zagadkę zbrodni popełnionej przed 16 laty, i „Zabójstwo Rogera Ackroyda", gdzie czytelnika zaskakuje nieoczekiwana pointe'a: lekarz relacjonujący wypadki i pomagający tropić mordercę sam okazuje się poszukiwanym zbrodniarzem. Prawnika i kryminologa Stanleya Gardnera znamy jedynie z doskonałej „Torebki szantażystki". Warto by przełożyć więcej jego utworów. Bardzo dobry jest Earl Derr Biggers w powieściach „Za kurtyną" i „Charlie Chan prowadzi śledztwo". Jego detektyw — Chińczyk. Pomysłowe i dowcipne są „Róże pani Harington" Craiga Rice'a, gdzie do rozwiązania zagadki kryminalnej przyczyniają się przede wszystkim dzieci. Spółka autorska występująca pod pseudonimem Patricka Quintina dała się nam poznać z przekładu bardzo dobrej powieści „Fatalna kobieta". Zatrzymuję się oczywiście na najlepszych utworach z tych, które poznałem.

A nasze rodzime kryminały, których autorzy przeważnie ukrywają się wstydliwie za różnymi pseudominami nie mając odwagi Putramenta? Są oni dużo tańsi, bo nie potrzebują dewiz, ale też produkcja ich jest o wiele gorsza. Niezłe były „Strachy w Biesalu" Putramenta i „Dwie rurki z kremem" krakowskiego Noëla Randona, interesująca w pomyśle „Zabawa w prokuratora" Woysznis-Terlikowskiej, ale bezwzględnie najlepszy i wcale nie ustępujący producentom anglo-saskim jest Joe Alex (pseudonim), zwłaszcza w pierwszej psychologiczno-kryminalnej powieści „Powiem wam, jak zginął", której poziom jest naprawdę artystyczny.

X. Rovay

O kulturze zabitej deskami

(Dokończenie ze str. 2)

mógłby się chwilę zatrzymać, obejrzeć wystawki, przejrzeć książkę, w cieple poczytać.

— Cóż, jest to tylko marzeniem — nie ma komu płacić za kulturę — dodaje zrezygnowanym głosem.

— A co by pani zrobiła, gdyby od pani zależało planowanie polityki kulturalnej? — pytamy na zakończenie.

— Więcej serca i pieniędzy poświęciłabym dla wsi. Wieś jest pod tym względem upośledzona. Opłata za zezwolenie na przedstawienie jest zbyt wysoka, żadnej pomocy nie ma. Jak powstanie zespół, to musi sam pokonywać trudności. Jak się rozwinie, ma jakieś dochody, to wydział finansowy nakłada podatek itp... W mieście są biblioteki, czytelnie, kina — ciągnęła dalej — a tu klitka. Lodownia.

Na zakończenie naszej kulturalnej wędrówki wstępujemy do miejscowej szkoły.

Właśnie przed chwilą zadzwonił ostatni dzwonek tego dnia i gromada dzieci hałaśliwie opuszcza szkolne izby.

Jesteśmy w mieszkaniu kierownika szkoły. Są wszyscy nauczyciele. Cała czwórka. Wszyscy młodzi. Wysłuchawszy żalów kierownika szkoły na ciasne i zimne mieszkanie (zimą temperatura mimo palenia sięgała 2° C), zozpoczynamy naszą rozmowę. Mówi kierownik szkoły.

— Mówiąc o życiu kulturalnym myślimy zaraz o zespołach teatralnych, chórach, orkiestrach, kinach... Wydaje mi się to niesłuszne. Na kulturę składa się wiele czynników. To, że chłop w gospodzie, zjadłszy obiad przy czystym stole, zabrudzi podłogę obok niego zawartością nosa, to też „kultura". To, że kobiety wiejskie o byle co kłócą się, skaczą do zębów, pokazują sobie obnażone siedzenia i każą się tam całować publicznie, to też „kultura". Można tak wymieniać bez przerwy. Kina nie ma. Było stałe. W ramach decentralizacji i walki o rentowność zabrano do innej miejscowości, tam, gdzie się opłacało. Kino ruchome, moim zdaniem, wymaga rekonstrukcji. Tu trzeba przyśpieszyć zapłon. Ono musi nadążać za produkcją filmową. Wieś też chce nowych, dobrych filmów, czego nie można powiedzieć o kinie ruchomym. Utarło się już, że kino to wyświetla dwa filmy na raz, biorąc 8 zł.

— Stój bracie 4 godziny i zaglądaj przez plecy, wytężaj wzrok i słuch. Drugi raz nie pójdziesz.

— Cóż jeszcze. Zespołów nie ma, z zewnątrz nikt też nie zagląda. Każdy zajęty sobą. Ludzie w poszukiwaniu rozrywki bawią się plotkami. Wszystko o wszystkim wiedzą. Na jednym końcu wsi kichniesz, na drugim ci odpowiedzą „na zdrowie".

— Już wiem, że zaraz powiecie: „A gdzie, wy, nauczyciele? To przecież wy macie to robić, kto zrobi lepiej?" —Zgoda. Rozumiemy nasze powołanie. Z żalem trzeba jednak stwierdzić, że nie ma na to czasu. Praca w szkole zajmuje 6—7 godzin, później przygotowywanie posiłku, przygotowywanie się do lekcji, samokształcenie, czytanie prasy, książki, a jeszcze wyjazdy po lekcjach do miasta po „prowiant" (w miejscowym sklepie jak zwykle nic nie ma). Żeby człowiek nawet miał szczere chęci, nie da się. Są jednak ludzie na wsi, którzy nie gorzej niż nauczyciel mogą „robić" kulturę. Ci jednak pozostają na uboczu, ich to jakoś nie wzrusza. Mają służbowe samochody, mogą sobie wyjeżdżać przynajmniej w sobotę do miasta, mają własne środki lokomocji, mogą korzystać z dóbr kulturalnych gdzie indziej.

— Pytanie, co tu zmienić?

— Nie, tu nie będzie nowego hasła. Wystarczy tylko, aby każda nowobudująca się szkoła miała jakąś salę widowiskową ze sceną. Wiele może zrobić młodzież szkolna. Należy odnowić ruch świetlicowy.

Tam, gdzie trzeba, musi być etatowy kierownik świetlicowy. Socjalistyczna wieś polska nie może pozostawać na końcu frontu kulturalnego. Wieś potrzebuje pozytywistów siódmej dekady XX w.

Gdy na drugi dzień opuszczaliśmy szkołę i wieś, prosili nas nauczyciele, by przyjechać równo w rok potem dla przekonania się, co tu się zmieniło.

— Dobrze, przyjedziemy — odrzekliśmy, po czym wyruszyliśmy w dalszą kulturalną wędrówkę po wiejskich odłogach.

Zy — Esz

Z życia szkół lubelskich

Redakcja „Kuriera Lubelskiego", Wojewódzki Zarząd Kin, Inspektorat Oświaty i Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego ogłosiły dla młodzieży szkół podstawowych i średnich konkurs—ankietę pt. „Jak sobie wyobrażasz loty kosmiczne?" Oto pytania tego konkursu, którego termin upływa 10 maja: 1. Jak sobie wyobrażałam (łem) loty międzyplanetarne przed obejrzeniem filmu „Kosmos wzywa"? 2. Jaki byłby mój udział w podróżach kosmicznych, gdybym mógł(a) o nim decydować? 3. Co wiem o przodujących krajach oraz ich osiągnięciach naukowych i technicznych w zakresie astronautyki? 4. Jaki wpływ na zmianę stosunków między ludźmi mogą mieć przyszłe podróże międzyplanetarne? 5. Książki poświęcone podróżom po kosmosie, które najbardziej mi się podobały (wymienić i scharakteryzować). 6. Jakie filmy obrazują zmagania człowieka podczas lotów do gwiazd i powrotu na ziemię (wymienić i scharakteryzować)?

□

Komitet Powiatowy ZMS w Zamościu, wraz z Dyrekcją Liceum Sztuk Plastycznych, zorganizował w kwietniu br. „Ognisko Plastyczne". We wrześniu rozpocznie ono już normalne zajęcia w trzech grupach: dziecięcej, młodzieżowej i dla dorosłych. Dzięki „Ognisku" dziesiątki chętnych będzie mogło poznać tajniki malarstwa, rzeźby i rysunku pod fachowym kierunkiem pedagogów-plastyków. Zapisy przyjmuje sekretariat KP ZMS i Dyrekcja Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu. Opłata wynosi 20 zł miesięcznie. Obecnie rozpoczęły się już zajęcia w grupie młodzieżowej.

□

W dniach 17 i 18 czerwca odbędzie się w Chełmie zjazd absolwentów Technikum Mechanicznego, które obchodzi w tym roku 40-lecie istnienia. Należy ono do najstarszych szkół technicznych na Lubelszczyźnie, a jego mury opuściło po wojnie blisko 600 techników.

□

W Lublinie powołany został Społeczny Komitet Budowy Technikum Kolejowego. Gmach szkolny, w którym uczyć się będzie przyszłych 300 kolejarzy, zlokalizowany zostanie przy ulicy Przybylskiego.

□

W rodzinnej wsi Małgorzaty Fornalskiej — Boniewie (pow. krasnostawski) odbyła się uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego pod budowę szkoły imienia tej zasłużonej rewolucjonistki. Trzeba dodać, że jest to już 14 szkoła — pomnik Tysiąclecia w powiecie krasnostawskim.

W Lubelskim Domu Kultury na Zamku, w okresie od 9 maja do 27 czerwca, w każdy poniedziałek wygłaszane są odczyty na tematy pedagogiczne. Szczególnie dużo miejsca poświęca się wychowaniu najmłodszych dzieci od pierwszych dni ich życia. Wykłady odbywają się w sali nr 14 o godzinie 17.

□

W maju br. odbyły się eliminacje zespołów dramatycznych istniejących przy szkołach podstawowych w Lublinie. W ciągu dwóch dni zespoły przedstawiły licznie zgromadzony plon swojej kilkumiesięcznej pracy. Pierwszą lokatę uzyskał zespół ze szkoły nr 1, który wystawił „Dobrą panią" według noweli E. Orzeszkowej.

□

W ramach Tygodnia Ziem Zachodnich odbył się w Szkole Podstawowej Nr 1 w Lublinie wieczór literacki pisarza ze Śląska Opolskiego — Rafała Urbana.

□

W Lublinie odbyła się wojewódzka narada aktywu szkolnego, której zadaniem było nakreślenie kierunku działania ZMS w szkole. W naradzie tej wzięli udział przedstawiciele Kuratorium, dyrekcji szkół i nauczycieli. Referat na temat zadań ZMS w szkole wygłosiła tow. Izabella Rychel — kierownik Wydziału Młodzieży Szkolnej KW ZMS. W toku narady za najważniejsze zadania stojące przed ZMS w szkole uznano: pogłębianie znajomości marksizmu-leninizmu przez młodzież, położenie większego nacisku na wyniki nauczania i politechnizację.

□

W Puławach odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod szkołę, którą ufundowali górnicy z kopalni węgla „Piast" w Łędzinach kosztem 8 milionów złotych. Dzięki społecznej postawie jednostki wojskowej z Zamościa nową szkołę otrzyma także ludność Osiczyna (pow. zamojski), gdzie również odbyło się już wmurowanie aktu erekcyjnego.

□

Staraniem Wydziału Oświaty MRN oraz instruktorów kół zainteresowań zorganizowana została na Zamku wystawa prac pozalekcyjnych uczniów szkół podstawowych z Lublina. Na wystawie tej, która czynna była przez 5 dni w maju, zgromadzonych zostało dużo ciekawych eksponatów, stanowiących dorobek kół przedmiotowych, technicznych, plastycznych, filatelistycznych i zabawkarskich.

ELŻBIETA ROSIAK

NOTY

CZAS UCZCIĆ PAMIĘĆ WIELKIEGO SYNA LUBELSZCZYZNY. 28 listopada 1961 roku przypada 90-lecie urodzin Andrzeja Struga (Tadeusza Gałeckiego) w Lublinie. 9 grudnia 1962 r. upłynie 25 lat od jego zgonu. Przypominamy te daty, nie tak bardzo znowu odległe, aby Wydział Kultury Prezydium MRN w Lublinie wespół z miejscowym oddziałem ZLP mógł poważnie zastanowić się nad sposobami godnego uczczenia pamięci świetnego pisarza i bojownika o sprawiedliwość społeczną. Zarząd Główny ZLP zwrócił się niedawno do Ministerstwa Kultury i Sztuki o stworzenie w dawnym mieszkaniu Struga jego Muzeum, dla którego żona autora „Ludzi podziemnych" p. Nelly Strugowa ofiarowała pamiątki po nim, które częściowo udało się jej ocalić w czasie powstania.

„ZIEMIA CHEŁMSKA". Pod tym tytułem ukazała się w połowie maja jednodniówka regionalnego Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej w Chełmie Lubelskim. Otwiera ją artykuł Tadeusza Dadosa „Obchody Tysiąclecia na Ziemi Chełmskiej", z którego m. in. dowiadujemy się, że w dn. 11—18 przypadną Dni Chełma. Odbędzie się wiele imprez, z których najciekawszą będzie widowisko plenerowe „Wesele Chełmskie", opracowane przez poetkę ludową Paulinę Hołysz. Interesujące są wspomnienia Kazimierza Janczykowskiego pt. „Wzgórze 296 m" o tym, jak to robotnicy lubelscy i chełmscy zatknęli w dniu święta majowego w r. 1905 Czerwony Sztandar na szczycie Arianki pod Rejowcem. O początkach swej pracy nauczycielskiej w r. 1920 na wsi w Pławanicach wspomina Karol Skaruch. Longin Jan Okoń zamieszcza szkic o poetach ludowych w Chełmszczyźnie, ilustrowany wyborem ich wierszy. Wiersze oryginalne młodych są słabe, nic zresztą dziwnego — autorki, jedna ma 15 a druga — 12 lat... Najlepiej prezentuje się tu K. E. Steszuk, który zresztą nie jest w tej dziedzinie początkujący. Numer uzupełniają wspomnienia o Zenonie Waśniewskim, rozważania Cz. Twardzika, który występuje z ciekawym projektem urządzenia nad Jeziorem Długim, niedaleko Chełma, ośrodka campingowego, „legendy i fakty" o Dziewiczej Górze S. Skibińskiego, kronika kulturalna i in. W jednodniówce znajdujemy wreszcie zdjęcia i reprodukcje („Autoportret" Z. Waśniewskiego i „Bramę Uściluską" Tad. Ścibiora).

-kaj-

II Festiwal Teatrów Polski Północnej

Na II FTPP, który odbędzie się w Toruniu w dniach od 12—26 czerwca, zostanie pokazanych 14 sztuk. Teatr im. Stefana Jaracza z Olsztyna pokaże „Pierwszy dzień wolności" — Kruczkowskiego (12.VI) oraz „Pamiętnik Anny Frank" — Goodricha i Hacketa (13.VI), Teatr Popularny z Grudziądza wystawi „Niemców" — Kruczkowskiego (14.VI) oraz „Powrót posła" — Niemcewicza (15.VI), „Kordiana" — Słowackiego (16.VI), „Bunt na USS Caine" — Wouka (17.VI), „Tatuowaną różę" — Williamsa (17.VI) oraz „Ucieczkę" — Bułgakowa (20.VI) pokażą Państwowe Teatry Ziemi Pomorskiej, scena bydgoska i toruńska. Teatry Dramatyczne ze Szczecina przywiozą na Festiwal „Widok z mostu" — Millera (18 i 19.VI). Sztukę Konopnickiej „Z przeszłości" pokaże Państwowy Teatr im. Aleksandra Węgierki z Białegostoku (20 i 21.VI). Bałtycki Teatr Dramatyczny z Koszalina da przedstawienie „Balladyny" — Słowackiego (22.VI) oraz „Hamleta" — Szekspira (23.VI). „Zabawę jak nigdy" — Saroyana (24.VI) oraz „Nosorożca" — Ionesco (25.VI) pokaże Teatr „Wybrzeże".

W związku z Festiwalem, podobnie jak w roku ubiegłym, ogłoszono konkurs na publikację prasową o Festiwalu. Inicjatorem tego konkursu była „Gazeta Pomorska". Zostanie również przyznane przez klub krytyki teatralnej SDP symboliczne wyróżnienie, a także nagroda za najlepsze, społecznie zaangażowane przedstawienie, ufundowana przez redakcję Ilustrowanego Kuriera Polskiego.

W czasie II Festiwalu odbędą się także spektakle scenek eksperymentalnych, jak teatry propozycji, dialogu itp. Będzie również otwarta wystawa plastyki.

Rysunek na str. 5
Teresy Targońskiej

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 2105. 14.V.1960. S-1.